

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 25 grudzień 1949 r. — 1 stycznia 1950 r.

Nr 51-52 (213-214)

TREŚĆ NUMERU: Jan Dobraczyński — Nikodema list dwunasty; Zygmunt Kubiak — Czas oczekiwania; Józef Lipiński — Rok Łaski; Alina Świdorska — W sprawie inscenizacji „Dziadów”; Maciej J. Kononowicz — Osaczeni przez Boga; Zygmunt Lichniak — Powojenna literatura katolicka; Leszcz — Nowe filmy dokumentarne; Alfred Gawroński — Dzieło wspólne; Antoni Gołubiew — Zasiłek Chruściela; Wojciech Kętrzyński — Dwa światy; Tydzień kulturalny: Jerzy Artemski — Z festiwalu sztuk radzieckich Alina Świdorska — W teatrach Krakowa; Andrzej Łepkowski — Suita św. Huberta.



* * *

Pamiętka Narodzenia Pana Naszego Jezusa Chrystusa jest świętem radości. Bóg, który jest miłością samą, zstąpił na ziemię, aby odkupić każdego człowieka. Radość chrześcijańska ma swe niewyczerpane, nadprzyrodzone źródło.

Jest dla wszystkich. Wszyscy bowiem razem zostali wybawieni przez Narodzenie Pańskie. Radość chrześcijańska, płynąca z Bożego Narodzenia, nadaje sens zdecydowanie optymistyczny wielkiemu katolickiemu słowu — Bliźni.

Radość i pogoda ducha nie mogą być bezproblematyczne. Każdy katolik zna ciężar grzechu pierworodnego. Współczesny katolik rozumie ogrom krzywdy i nieszczęścia, wywołany na całym świecie przez stary ustrój społeczny. Współczesny katolik jest świadomy także trudności, jakie powstają przy koniecznym wprowadzaniu nowego, lepszego systemu społecznego. Tym niemniej jest konsekwencją wiary świętej, aby katolik niósł między swoich i obcych radość i uśmiech życzliwości. Katastrofizm, ustawiczne narzekanie, obrażanie się na historię, sceptyczna negacja nie są postawą katolicką.

Przy stole wigilijnym w każdej rodzinie katolickiej powstaje atmosfera specjalnej życzliwości i pogody. Ta wigilijna atmosfera musi być przez katolików wniesiona jako czynnik stały w życie społeczne współczesnego świata. Pascal napisał kiedyś głęboko: — czuwajcie, Chrystus stale za nas umiera. Z równą słusnością powiedzieć możemy: „Chrystus się stale dla nas rodzi”. Trzeba zawsze uśmiechem bratniej życzliwości zawiadamiać każdego spotykanego o narodzeniu się Pana Naszego.

* * *

Z okazji świąt
BOŻEGO NARODZENIA

wiele serdecznych życzeń wszystkim naszym Czytelnikom i Sympatykom przesyła

Zespół i Redakcja

„DZIŚ i JUTRO”

Dariusz 10/12

Jan Dobraczyński

Listy Nikodema

LIST D W U N A S T Y

Drogi Justusie.

Uczyłem jak mi radziłeś. Wstałem wczesnym rankiem; pogoda nie była przyjazna — w nocy dał wichur i siepał gęsty, zimny deszcz pomieszany ze śniegiem. Kiedy wyjrzałem rano na dach domu, wszędzie było biało i słychać było szmeranie topniejącego śniegu. W pierwszej chwili chciałem zrezygnować z tej podróży; było mi zimno zanim jeszcze stąpiłem na zlodowaciałą ziemię i poczułem na twarzy ostrzy powiew wiatru. Ale nagle przypomniałem sobie, jak mi mówili, że była właśnie taka sama okrutna pogoda, gdy przed laty, tamci wstępowali do królewskiego miasta. Jeżeli mam iść ich śladem — przyszło mi do głowy, — to powinienem iść właśnie dziś, pod ciężkie niebo, grożące śniegiem. Gdy się chce naprawdę coś odkryć, trzeba porzucić postawę dalekiego obserwatora; gdy się chce poznać człowieka, trzeba stawiać stopy w jego ślady, nie wtedy, gdy je wichur wygładzi, ale wtedy, gdy ślad jest głęboki i pełen podszedłego wodą śniegu. Tak mnie uczyłeś, mój drogi, tak głoszą twoi ukochani mędrcy greccy. Wziąłem więc kij, zawiązałem się w moją **simlah** i, odmówiwszy modlitwy, opuściłem dom. Ulice były puste, bił się w nich tylko wiatr niby pies bezpański, rozwścieczony głodem. Nogi mi zlodowiały zanim doszedłem do pałacu. Nikt w nim teraz nie mieszka, — ale wtedy umierał w nim ten potwór. Żarła go choroba, nie mógł sypiać. Mówią, że chodził nocami po pałacu i wył, jak wyje szakal w noc księżycową. Podobno wołał poduszonych synów i Ferorasa — tego brata, którego tak kochał, a przecież kazał go otruć. Zabijają wszystkich wokoło siebie, zabijają, namiętnie, gorączkowo — pragnąc miłości ludzkiej. Dlatego zabijam — miał napisać do cesarza — ponieważ prze stał mnie kochać. A ja chcę, żeby mnie kochali, żeby cieszyli się, gdy ja się cieszę i płakali, gdy ja płaczę... August uważał go za szaleńca, toteż kazał Cyrynowi włączyć w sprawę Judei, jakby kraj był już zupełnie pod władzą rzymską.

Dlatego to namiestnik, nie pytając nawet króla o zdanie, wydał rozkaz powszechnego spisu. Ludzie byli zaskoczeni, gdy im odczytano apogrfy. Przy następnych spisach, jak wiesz, były bunt i dochodziło do rozlewu krwi. Ale wtedy nie przyszło nikomu do głowy walczyć. Narzekając, ludzie wyruszyli w drogę. Czas był właśnie taki, jak w tej chwili: góry białeły osypane śniegiem, na drogach leżało oślizgłe, lodowate błoto. Lgnąc w nim, ciągnęły przez kraj karawany mężczyzn, przeklinających Rzymian i Heroda. Rzadko widać było kobiety; kobiet spis nie dotyczył, a w taki czas ohydny tylko jakaś zakochana młódka lub kobieta, która sama zostać nie mogła, towarzyszyła mężowi.

A jednak tych Dwoje szło razem. Myślałem ciągle o nich, odkąd przeszedłem bramę Jaffską i poczułem obchodzić górę Złej Rady. Było zimno i z każdym krokiem wydawało się, że robi się jeszcze zimniej. Na północnych zboczach góry leżały płaty śniegu, na których odcinaly się czarnymi, krętymi liniami strumienie spływającej wody, podobne ciałom węzów, które wyczołgały

się z Wężowej Sadržawki. Droga ledwo dostrzegalnie szła w górę. Wiatr bił prosto w twarz tysiącem lodowatych kropelek wody. Nie czułem palców od nóg, tak były zmarznięte. Kark bolał mnie od trzymania głowy sztywno pochylonej. Chwilami pęd powietrza zapierał oddech w piersiach. Wtedy przestawałem w ogóle myśleć. Lecz gdy wiatr przycichał, powracałem myślą do tamtych Dwojga.

To nie mogła być przyjemna podróż dla Kobiety, mającej rodzic tej jeszcze nocy. Nie wiem przy tym, czy jechała na osie, czy też, że względu na wielkie ich ubóstwo, szła pieszo, wsparta tylko na ramieniu towarzysza. Szła jednak czy jechała — myślałem — niewątpliwie musiała panować nad swoją słabością. Mogła nad nią panować. Matka Mesjasza — jeżeli, oczywiście, Człowiek którego poznałem jest Mesjaszem jeśli nawet na zewnątrz nosiła pozór nędznego, ludzkiego bytowania — w sobie, w swym sercu, była niewątpliwie zaprzeczeniem tej nędzy. Prawdopodobnie, idąc, nie czuła na twarzy ostrego wiatru, jej stóp nie paliła lodowata woda kałuż, w krzyżach nie czuła rozpięającego bólu. Cierpienie mogło być u niej tylko pozorem, skrywającym inne, niecierpieliwe życie. Inni ludzie, dążący drogą, zastanawiali się może przez chwilę, że ta para wędrowców wlecząc się ostatkiem już sił i nie wiadomo czy zdoła dotrzeć do najbliższej wioski. Ale myśląc o tym — biegli dalej, niespokojni, czy starczy dla nich miejsca w zajęciu. Czy jednak Kobieta szła naprawdę ostatkiem sił? Nie — byłem pewny, że nie! Musiały być w niej niewyczerpane źródła siły. Musiała wiedzieć, że nie padnie, nie osłabnie, że zdąży na czas — słowem, że nic jej nie grozi. Tak mi mówił rozsądek.

Uderzenia wiatru stały się nie do wytrzymania. Doszedłem do najwyższego wzniesienia drogi. Dalej ścieżka zaczyna spadać. Przede mną rozciągała się dolina, długa, rozległa, gubiąca się w szarej dali. Naprzeciw niej, na wyrwanym z górskiego łańcucha paśmie, leżało Betleem. Miasto przysiadło między dwoma występami skalnymi, niby między strażnikami, którzy je pilnowali z obu stron. Od razu, jak tylko zacząłem schodzić, wiatr zelżał. Za to zaczął padać śnieg. Powietrze pełne było białych płatków, które znikwały w zetknięciu z ziemią.

Dowlokłem się do miasteczka, zmęczony, zziębnięty i głodny. Marzyłem tylko o jednym: aby znaleźć się wręcz przy ognisku. Już mnie nie pociągała myśl o chodzeniu cudzymi śladami, gdy się chce poznać prawdę drugich. Byłem na siebie zły. Po co — mówiłem sobie w duchu — oderwałem się od ksiąg, od rozważań nad Torą, od dysput nad halakkami! Po co przywlekłem się przez śnieg i zimno do tego miasteczka zmarłej wielkości? Jeżeli to nawet prawda, co głoszą tamci, że Mistrz z Nazaretu, właśnie tutaj przyszedł na świat — to i tak nie ja to będę stwierdzał. Kto jest Mesjaszem musi okazać, że jest Mesjaszem.

Nad drogą, bliżej niż inne zabudowania stał **khan** — gospoda. Wszedłem do środka. Wyglądał jak inne: okrągły podwórzec, ogródzony i z podsieniami wokół ścian. Był zupełnie pusty. Środek, przeznaczony dla zwierząt jucz-

nych, wyglądał jak małe jezioro: pełen był wody, spod której wylezało błoto przemieszane z nawozem. W podsieniach, na wysoko podsypanym wale, osłonięte matami paliło się ognisko, a nad nim kołysał się sennie jakiś człowiek, widać gospodarz zajazdu. Na mój widok wstał i powitał mnie grzecznie:

— Pan niech będzie z tobą, gościu...

— I ciebie niech zawsze strzeże...

— Obyś wracał szczęśliwie z każdej wędrowki...

— A twój dom niech ci nigdy nie będzie niemiły...

— Niech ci anioł strzeże przed zbrojcami i nieczystymi...

— Zaś twoje komory niech nigdy nie stoją próżne...

Usiadłem wreszcie przy ognisku i poczułem miłe ciepło. Gospodarz ofiarował mi wino, chleb, ser i oliwki. Narzekał na pogodę, która od paru dni zrobiła się okropna, potem na Rzymian i na podatki. Zobaczywszy, że jestem faryzeuszem, zaczął tytułować mnie rabbi. Z daszku nad podsieniami lała się woda, lecz jej szum nie był przykry, gdy się siedziało w kręgu bijącego od ognia ciepła.

— Słuchaj — zapytałem, — czy dawno jesteś gospodarzem tej gospody?

Było tak, jak przypuszczałem: gospoda należała poprzednio do jego ojca, a wcześniej do jego dziadka.

— Słyszałeś coś pewno o Jezusie Nazareńskim?

Skinął głową. Dużo rzeczy można usłyszeć od ludzi, którzy zatrzymują się w gospodzie. Schodzą się tutaj wieści z całego świata.

— Owszem, słyszałem, rabbi. To Prorok. Było ich dwóch. Ale jednego z nich, Johanaana, kazał zabić tetrarcha Antypas.

— Czy to prawda — głos mi, nie wiem dlaczego, zadrżał gdy pytałem — że ów Jezus urodził się tutaj, w Betleem?

— Tak — odpowiedział od razu. — Tu, w naszej gospodzie.

Wlepiłem w niego wzrok. Miał czarne, błyskające oczy i bujną brodę padającą na pierś. Nie czekając na pytania, zaczął żywo opowiadać. Przed wielu laty, on sam jeszcze się nie był wtedy narodził, przybyło do gospody dwoje Wędrowców. Początkowo nie chciano ich przyjąć, gospoda bowiem była pełna i brakło miejsca. Ale dziwna gwiazda jaka się w tym czasie zapaliła nad Betleem, przekonała rodziców Margalosa (tak się nazywał człowiek, który mi to opowiadał), że Przybyli są ludźmi, którym należą się niecodzienne względy. Znalezione dla nich miejsce i tu, w gospodzie, w tamtym kącie, oddzielnym matami, Kobieta urodziła syna. Był zdrowy i piękny, ale najważniejsze, że ledwo się urodziwszy umiał mówić. Tak — od razu było wiadomo, że przyszedł na świat wielki prorok. Uczynił także szereg cudów: gdy zobaczył, że Jego Matka musi dźwigać wodę ze źródła u podnóża góry, uderzył nogą w kamień i ze skały wytrysnęło źródło. Płynęło ono obficie przez cały czas, przebywania Jego Rodziców w Betleem. A gdy zapragnęli wracać do Galilei, Dziecko dotknęło rączką łańcucha przegradzającego podwórze, a pod tym dotknięciem, posypały się sta-

tery i denary. Rodzice mogli sobie kupić osły, by wygodnie powrócić do ziemi, w której mieszkali...

— Kłamiesz i kłamiesz! — ktoś powiedział. Niepostrzeżenie nadeszła stara kobieta z dzbankiem na wodę na ramieniu. Miała podwinęta **kuttonę**, a jej nogi suche, porożymane żyłami, umazane były wyżej kostek błotem. — Kłamiesz — powtórzyła raz jeszcze surowo, zaciskając usta, aż się porobiło szereg zmarszczek.

— Po co matka tu przyszła? — powiedział niechętnie Margalos. Ale spuścił głowę.

— Po co przyszła, po to przyszła — burczała stara. — A ty nie kłam! Kłamiesz i kłamiesz...

— A czy ty wiesz, jak było na prawdę? — zapytałem.

Nie odzywam się nigdy do kobiet, choć nie składałem ślubu milczenia wobec nich. Ale tym razem byłem bardzo zadowolony. Musiała być zaskoczona moim odezwaniem się, bo milczała czas jakiś. Potem postąpiła bliżej. Stała tu przede mną, wciąż z dzbankiem na ramieniu, jak stol żołnierz przed swym wodzem z podniesioną do ramienia włócznią.

— Jeżeli pozwolisz, rabbi, to ci powiem... — zaczęła niepewnie. — Wcale tak nie było, jak ci opowiadają mój syn. On myśli, że takim opowiadaniem ścierać będzie gości do naszej gospody. Ale on głupi...

Odkaszlnęła. Nie obsunęła **kuttony** więc widziałem wciąż jej nogi suche, spracowane, pokryte powyżej kostek czerwonym osadem błota.

— To było tak... — podjęła znowu. — Dzień był jak dzisiaj. Zupełnie taki sam. Padał śnieg, błota stało wszędzie, wielbłądy i osły trzęsły się żałośnie, a na ich bokach porobiły się ciemne zaciekki. Strasznie dużo zjechało się ludzi. To dlatego, że był ten spis... Kiedy przyszedł wieczór gospoda pełna była zwierząt, a pod dachem leżał człowiek koło człowieka...

Zmęczona byłam okropnie. Upadałam po prostu. Mąż wołał cię gło abym to biegła po wodę, to rozgniała ziarno w stępie, to znowu pomagała obrządzać wielbłądy. Mój mały Juda, mój synek, płakał mi na rękach, bo mi od zmęczenia zabrakło pokarmu. Już tylko wdychałam, aby nadeszła noc i ci ludzie, którzy gadali i jedli, jedli i gadali ułożyli się wreszcie spać...

Ale właśnie wtedy przepchnął się do mnie człowiek. Nie wiem co ci o nim powiedzieć, rabbi. Był zupełnie taki sam jak inni... Miał mokry płaszcz, musiał przyjść dopiero co z drogi. Cicho — jakby inni nie wrzeszczeli ile sił w gardłach i nie wygrażali poganom za ten spis — zapytał,

czy mogę przyjąć jeszcze jego i jego żonę. Dopiero w tej chwili przyszli. Są zmęczeni, jego kobieta zastąpiła kilkakrotnie w drodze — a spodziewa się lada chwila rozwiązania. Byłam szalona z umęczenia. Krzyknęłam: „Nie! Idźcie sobie! Nie widzisz, że nie ma ani odrobiny miejsca?!“ Próbował mnie przekonać, że zdołają się zmieścić, ale tym mnie rozłościł jeszcze bardziej. Juda bił piastką w moją pierś, z której nic już nie mógł wyssać. Ludzie gadali jak opętani. Jednak w zgiełku dosłyszałam głos mego męża, który na mnie wołał; pewno chciał abym znowu biegła po wodę do źródła. Na samą myśl o schodzeniu w dół, w noc i w zimno, ogarniała mnie rozpacz. Pocięłam krzyknąć: „Precz! Idźcie precz! Nie ma miejsca. Róbcie co chcecie... Wynoście się tylko! Co za bezczelne żebraki! (tak, nie po wiedziałam ci jeszcze, że mężczyzna był ubrany jak zwykły amhaarez)“. Mój mąż podszedł do mnie zdziwiony moim krzykiem.

On sam był zachwycony rejwachem w gospodzie, rozmowami i przybyłymi, wysłuchiwaniami ich bajd. Nie miałam sił, by z nim rozmawiać, krzyczałam tylko na tamtych: „Precz! Precz! Idźcie stąd! Nie ma dla was miejsca!“ Mąż mój wdał się w rozmowę z przybyłym. Widziałam jak tamten pokazuje ręką na swą Towarzystkę. Stała trochę dalej, oparta o tykę, podpierając dach. W tym miejscu, patrz rabbi. Jej nogi lgnęły w błocie, jak teraz lgną moje. Twarz miała szarobłą, napięta, oczy zamglone, wargi zagryzione. Widać było po niej, że zbliża się jej godzina. Ale ja krzyczałam coraz głośniej. Prawie chciałam się rzucić na nich, bić ich, jak mnie bił mój Juda. Mój mąż wzruszył ramionami. Uznał, że widocznie nie ma się co spierać z mną. Drapał się w głowę i spoglądał to na prosiącego mężczyznę, to znowu na zmagającą się ze swym bólem Kobieta. Potem coś do nich powiedział i wszyscy troje wyszli z **khanu**. Przybyły prowadził Kobieta, objawiając ją ramieniem w pół.

Jeszcze długo potem nie mogłam się położyć. Musiałam obsłużyć przybyłych, piec placki, nosić wodę, karmić wielbłądy. Wołano na mnie, popędzano mnie. Płakałam ze złości. Juda usnął wreszcie na moich rękach. Mój mąż chodził między gośćmi, wysłuchiwał ich opowieści, dawał się częstować winem. Pogwizdywał z zadowolenia i pobrzękiwał pieniędzmi, które nosił w skórzanym sakwie na brzuchu. Przecho- dząc koło mnie, powiedział: „Pozwoliłem im zamieszkać w grocie ze złobem... Tam mniej dmucha i jest trochę słomy...“ Wy-

Z przyczyn technicznych zmuszeni byliśmy odłożyć do numeru następnego druk dalszego ciągu opowiadania J. Dobraczyńskiego „Strzały za horyzontem“.

Redakcja przeprasza Czytelników za tę niezamierzoną zwłokę.

buchłał gniewnie: „trzeba ich było wypędzić! Poszczuć psami! Natrętne żebraki!” „Co za giez cię ukąsił — zaśmiał się. — Biedni ludzie. A ta Kobieta małe urodzić tej nocy. Powinnaś do niej pójść...” „Jeszcze czego! — oburzyłam się. Niech rodzi sama! Strasznie się zrobił litościwy...” „I znowu pobiegłam, bo już krzyczeli o skopek dla wielbłąda.

Ale wreszcie przyszła noc. Ludzie w gospodzie pospali się na koniec i tylko chrapali hałaśliwie. Mój mąż spał także; buchało od niego wpytym winem; coś mamrocząc odepchnął mnie od ogniska i leżał na posłaniu rozwalony, drapiąc się przez sen po piersi obrośniętej czarnym włosem. Juda zajął resztę posłania. Dla mnie nie było miejsca, zepchnęli mnie na gołą ziemię. Może dlatego mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami. Na podwórzu stękały wielbłądy, przestępując z nogi na nogę. Przestało padać. Nocny mróz ściał wodę na kałużach. Ustało szmeranie ściekającego z dachu śniegu.

— Słuchaj, kobieto — zapytałem — a czy widziałaś gwiazdę, tajemniczą, ogromną gwiazdę nad waszą gospodą?

Wzruszyła ramionami.

— Kobietę jak ja — powiedziała, — nie podnoszą w górę oczu. Nie mają czasu. Oglądają gwiazdy — to sprawa mężczyzn...

Choć już mówiła tak długo, nie zdjęła nadal dzbanka z ramienia.

— Ale mężczyźni mówili, że gwiazda była — podjęła po małej przerwie. — Tak mi powiedział Symche, syn Tymeusza. Także podobno głosi i śpiewy. Spotkałam go, kiedy wychodziłam od nich... Tylko dlatego tam poszłam, że nie mogłam spać. Wzięłam garnek ciepłej wody, trochę oliwy, parę szmat... Ledwo udało mi się przejść do wyjścia: musiałam przestępować przez ciała śpiących. Któryś z nich złapał mnie za nogę, ale odpechnęłam go. Na szczęście nie narobił krzyku. W tamtej grocie trzymaliśmy nasze zwierzęta: dwie kozy, wołu jarzemnego, oslicę. Stał w niej żłób wypalony z pnia. Z otworu bił na ścieżkę słaby blask. Jeszcze nie weszłam do środka, gdy usłyszałam płacz dziecka. Więc już przyszło na świat. Kobieta stała przy żłobie, pochylona nad nim, przemawiając coś cicho do Nowonarodzzonego. Może ci się to wyda dziwne, rabbi, że zaraz po urodzeniu mogła stać na nogach i ruszać się. Ale my kobiety ciężko pracujące wiemy, że gdy trzeba nie wiadomo skąd biorą się siły. Jej mąż rozpał w kącie groty ognisko. Przewiewu jednak nie było, więc z ognia szedł zamiast ciepła, ciężki, gryzący dym. Dziecko płakało, bo Mu dym wleśkał się w oczka, i Matka płakała, pochylona nad Nim...

Była młoda, niedoświadczona. Musiałam jej pokazać jak się kąpie dziecko, jak się je potem owija w szmaty. Nie było jednak bardzo w co owijać — w węzełku Kobiety nie było prawie nic. Ale Ona zaraz, uklękawszy, począła pracować. Przez ten czas starałam się zakoiłować Dziecko. Dym gryził je ciągle w oczy i dusił. Nie przestawało płakać. Śpiewałam mu te same piosenki, jakie zwykłam śpiewać Judzie. Potem płacz małego począł przechodzić w szloch: to znaczyło, że wreszcie zaśnie. Gdy już spało, położyłam je w żłobku. Teraz już i mnie oczy i gardło piekły od dymu, głowa bolała. Ale jeszcze wydoiłam kozę, bo chciałam, aby Matka napiła się ciepłego mleka. Gdy wychodziłam, Kobieta podeszła do mnie.

„Dziękuję ci, siostrze... On ci odpłaci”. Nie wiedziałam o kim mówi, zresztą w skroniach miałam szum. Wysłałam, powietrze przed grota owionęło mnie. Utrzymałam się i oparta o skałę poczęłam je wdychać pełnymi piersiami. Musiało być już bliżej dnia niż wieczoru, a wiedziałam, że czeka mnie znowu dzień okropny. Pokarm podchodził mi do piersi gorącą falą bólu. A przecież gotowa tak byłam stać bez końca, pod tą skałą, łykając świeże powietrze, które wydawało mi się wspaniałe po zaduchu groty.

To wtedy zobaczyłam starego Tymeusza jak szedł w towarzystwie swych synów i kilku jeszcze pasterzy. Wyglądali groźnie ze swymi pałkami w rękach i z nożami za pasem.

— To ty? — zobaczywszy mnie, obrócił się ku mnie. — Czy to prawda, że w waszej grocie urodziło się Dziecko?

Głos mi zamarł, Tymeusz mimo swego wyglądu jest spokojnym człowiekiem. Ale mnie wydało się, że oni chcą napaść tamtych, których myśmy nie wpuszcili do gospody.

— Nie! nie! — zawołałam prędko. — to biedni ludzie... Nie róbcie im nic złego...

Prychnął mi lekceważąco w nos — minął mnie i wszedł do groty. Za nim poszli jego towarzysze. Tylko Symche zatrzymał się chwilę przy mnie i prędko powiedział mi o gwieździe, o świątliwości, o głosach i o śpiewie. Nie byłam całkowicie uspokojona, udałam się za nimi znowu do groty. Stali w progu jakby onieśmieni i wodzili wzrokiem po niskim sklepieniu, z którego ściekała wilgoć. Naprzeciwko nich

zobaczyłam Kobieta z Dzieckiem na ręku. W jej oczach był niepokój, lęk i ta wieczna troska, jaka nie opuszcza niektórych matek. Obrońnięci ludzie w kożuchach, którzy niespodziewanie wepchnęli się do groty, musieli ją przerazić. Porwała Dziecko i przycisnęła je do piersi. Matka tak zawsze chciałaby bronić swoje dziecko, nawet gdy ono przestało być już dzieckiem. Ale z wolna niepokój począł ustępować na jej twarzy miejsca radości. Kto się uśmiecha do naszego dziecka, temu nie możemy nie odpowiedzieć uśmiechem. Kobieta postąpiła krok naprzód. Jak kapłan, który zanim poświęci ofiarę, okazuje ją ludowi, wyciągnęła swego Syna na rękach ku pasterzom...

— Czy rzeczywiście był taki piękny i zdrowy?

— Dziecko jest zawsze piękne... — odpowiedziała. — A zdrow bardzo nie był. Płakał często, — a gdy płakał, płakała także Matka. Wydawał się drobny i mały, jak dzieci, które przed czasem przychodzą na świat. Matce brakło pokarmu, więc był głodny. W grocie było zimno, więc Mu skórka spierzchnęła i bolała Go. Oczy miał długo chore od tego dymu...

— A kiedy to źródło wytrysnęło ze skały?

— Źródło? Mój syn skłamał ci, rabbi. Miałam nieraz w rękach Jego nóżki. Były różowe, delikatne jak nóżki dziecka, wrażliwe na ból. Gdyby, którą z nich uderzył w kamień, skaleczyłby się na pewno. Więc Matka czuwała, by się nie skaleczył. Nie uderzył nogą w skałę, póki tu był z nami. Nie sprowadził źródła na szczyt wzgórza. Jego Matka, jak my

wszystkie, musiała chodzić po wodę, aż na sam dół...

— A te pieniądze, które posyłały się z łańcucha?

— To także nieprawda! — wykrzyknęła. — Kłamliwy jest język próżniaka. Pieniądze... Gdy opuszczali nasz dom, mężczyzna przyniósł mi jednego denara i powiedział, że więcej dać nie może, bo nie ma, ale jeżeli chcę zrobić mi jakiś sprzęt, ponieważ jest cięśłą i zna się na tym. Powiedziałam aby zrobił stół — i zrobił go. To ten, rabbi, który stoi obok ciebie...

Obejrzałem go. Stół był zwykły, ciężki, jakie spotyka się w bogatszych domach chłopskich, ale odrobiony starannie.

— I to wszystko co wiesz o urodzeniu Jezusa z Nazaretu? — spytałem ją na koniec.

— Wszystko, rabbi.

— Czy był tu kiedy jeszcze?

— Nie, nigdy. Słyszałam tylko, że chodzi po Judei i naucza...

Wieczór począł się zbliżać, postanowiłem przenoćować w gospodzie i wrócić do Jerozolimy dopiero następnego dnia. Kobieta odeszła, słyszałem jak krząta się przy gospodarstwie. Margales niezadowolony ze słów matki, siedział odwrócony ode mnie i coś tylko pod śpiewywał pod nosem. Mrok spływał na pustę podwórze. Dopiero gdy się już zrobiło całkiem ciemno, przybyła do gospody mała karawana kupców wędrujących z Hebronu do Damaszku.

Zobaczyłem, że kobieta wychodzi z khanu. Zapytałem:

— Czy idziesz może w stronę groty? Chciałbym abyś mi ją pokazała.

— Chodź, rabbi.

Na drodze dał wiatr. Niebo oczyściło się z chmur i świeciły

gwiazdy. Kobieta w stulonych dłoniach niosła zapalony kaganek oliwny.

Doprowadziła mnie do skalnej ściany, w której był wąski otwór. Weszliśmy do środka. Grota pełna była woni zwierząt i wilgotnej słomy. Kobieta podniosła lampkę. Wypalony z pnia żłób leżał na krzyżakach. Nad nim dyszał biały wół jarzemny.

— To tu — powiedziała.

— To tu... — powtórzyłem. Słoma była przegniła i mokra. Żłób — płytki i twardy. W kącie leżały śmiecie i odchody zwierzęce.

Tylko człowiek — pomyślałem — tylko zwykły człowiek mógł przyjść na świat w takiej nędzy i w takim opuszczeniu. Mesjaszowi Synowi Boga, nie dość by było wspaniałości pałacu Heroda. Ogarnął mnie smutek. Sam nie wiem dlaczego ale wydawało mi się, że niskie sklepienie groty opiera się o moją głowę i ciśnię na nią boleśnie. Jeszcze raz obrzuciłem wzrokiem wszystko i wyszedłem.

— A gdzie jest twój starszy syn, ten Juda? — zapytałem kobietę.

— Nie żyje — odpowiedziała.

Po chwili, gdyśmy już uszli spory kawałek drogi, dodała: — Zabili go żołnierze Heroda, gdy szukali małego Jezusa...

W jej głosie dźwięczał smutek, jakby ta śmierć nie miała miejsca przed trzydziestu laty, ale zaledwie wczoraj. A mnie nagle ogarnęło oburzenie. W obliczu okropnego zawodu miałem wrażenie, że rozumiem lepiej ból tej kobiety niż rozumiałbym go w innych okolicznościach. Zdawało mi się, że i ona cierpi przede wszystkim dlatego, iż te Narodziny nie były takie, jakie powinny były być, byśmy mogli czuć się szczęśliwi... (dokończenie na str. 4-jej)

Zygmunt Kubiak

Czas oczekiwania

Obraz pasterzy betlejemskich czuwających nad swoimi stadami pozostanie na zawsze symbolem oczekiwania. Ale noc będąca świadkiem ich rozmowy z aniołem stanowiła tylko ostatni akt tego oczekiwania, które wypełnia całe dzieje przedchrześcijańskiej ludzkości.

Pochylamy się nad szlakami historii, aby wysłedzić jego cierpienie i nadzieję. Historia wypełniona jest niecierpliwym zgiełkiem wędrowek i walk: jedne miasta rosły, inne waliły się w gruzy.

„Jedno pokolenie odchodzi, a drugie przychodzi — rozmyśla Eklezjasta — a ziemia ciągle trwa”. W tym kołowrocie życia gdzie jest miejsce na kontemplację? Ale wsłuchajmy się uważnie. Te pokolenia nie przemijały bez słowa. Każde z nich rzuciło ku niebu wielkie pytanie, wielkie błaganie lub wielki krzyk rozpacz.

Ponad głowami utrudzonej ludzkości unosili się słowa proroków i śpiewaków, którzy przemawiali w imieniu całych ludów, aby dać wyraz niezgłębionej tajemnicy ludzkiego cierpienia, drczącemu paradoksowi zła i śmierci, przechowywanej od wieków prawdzie o upadku człowieka:

„Czyż nie służbę wojenną los człowieka na ziemi, a jako dni najemnika dni jego?... Tak wyliczono mi miesiące nędzy, a dolichono noce utrapień!” — wolał Hiob, wielki mąż z ziemi Uz, jęcząc i płacząc na ruinach dawnego szczęścia.

Z dalekich Indii dobiega głęboki i skupiony głos Buddy: „Cierpieniem są narodziny, cierpieniem jest starość, cierpieniem jest choroba, cierpieniem jest śmierć... cierpieniem jest wszystko, co podsyca żądze bytowania”. Jeśli tak, jeśli całe życie jest cierpieniem — myślał Buddy — to w takim razie trzeba zniszczyć w sobie pragnienie życia, trzeba osiągnąć pełne unicestwienie duszy i ciała, bo to jest jedyna droga wyzwolenia. Wbrew wszystkim pozorom nawet ten tragiczny gest hinduskiego księcia jest świadectwem oczekiwania, jest rozpaczliwym wyrazem tęsknoty do wyzwolenia.

Ludzkość była rzeczywiście w niewoli. Nauką o odkupieniu nie jest filozoficzna abstrakcja. Warto czytać pieśni Homera, aby to zrozumieć. Ślepy piewca walk pod Troją napelniał swoje poematy blaskiem greckiego słońca i pośród tego blasku ukazał tajemniczą głębię cierpienia i śmierci: „Ze wszystkiego, co dyszy i pełza po ziemi, nie ma istoty tak żalostnej jak człowiek”. Homerowa Troja, nad którą wisi nieunikniony wyrok zagłady, jest wielkim symbolem całego pogańskiego świata, gdzie pełne blasku życie było skazane na mrok śmierci.

Przeznaczenie panuje nad całym światem, z jego wyroku człowiek kocha bez nadziei i gnie samotnie. Bohaterski Hektor wie, że jego męstwo nie ocali ani Troję, ani jego młodej żony, ani małego synka, ale mimo

wszystko idzie na walkę, by do końca dawać świadectwo swojej smutnej miłości i rozpaczliwej nadziei. Gdy w pewnym momencie Hektor nie chce wierzyć w wiszący nad jego grodem wyrok zagłady, to jest to jakby potrząsanie łańcuchem.

Bohaterstwo starożytnej Grecji polegało na tym, że w obliczu tragizmu ludzkiego życia nie uległa ona pokusie biernej rozpacz, nie uczyniła gestu Buddy, ale raczej poszła śladami stóp Hektora, aby poprzez męstwo Leonidasa i Sokratesa gotować ścieżki dla tej Prawdy, która miała się objawić. Ale w ostatecznym obrachunku nawet Grecja była bezsilna. Pragnąc zdobyć wyzwolenie przez męrość, — im głębiej sięgała do tajemnic bytu, tym bardziej uświadamiała sobie swoją bezsilność i przyszedł czas, gdy cień buddyjskiej nirwany padł na słoneczną ziemię grecką: stoicy wzywali do obojętności i bezczucia, a nawet coraz częściej podnosili się głosy nawołujące do samobójstwa: patet exitus — śmierć stoi otworem.

Pośród tego świata błędów, cierpień i nadziei, starożytny Izrael w trudzie i walce przechowywał najcenniejszą, powierzoną mu Prawdą, choć ukryta ona była za mgłą symbolów i tajemnic. Ale Izrael również był bezsilny. Najpotężniejsze słowo jego proroków nie mogły wyzwolić świata z niewoli zła i śmierci. Cała treść jego posłannictwa polegała na świadomym

oczekiwaniu. Jakże wielki świat rozwiarał się przed oczyma tego małego narodu! Izrael przemawiał w imieniu całej ludzkości. A słowa jego stawały w płomiennym blasku, gdy miały głosić przyszłą epokę Mesjasza:

„Lud, który chodzi w ciemności, ujrzy światłość wielką — woła Izajasz. — Światłość weszła siedzącym w krainie cienia śmierci... Gościć będzie wilk u jagnięcia, a pantera przy koźleciu wylegać się będzie. Cielę i koźlątko i tuczony byk pospolu, a chłopię małe prowadzi je... Pełną będzie ziemia poznania Wiekuistego”.

Pasterze, którzy czuwali przy swoich stadach koło miasteczka judzkiego Betlejem, znali te słowa. Wokół nich rozpościerała się noc, która była początkiem nowych czasów. W powietrzu unosił się radosny śpiew aniołów, witający jutrzeńkę nowego świata, w którym pełną pęką wiary śmierci i rozpacz, w którym nikt już nie będzie musiał umierać bez nadziei zmartwychwstania. Cierpienie nie zniknie jeszcze z oblicza ziemi, ale jego złowrogi płomień zamieni się w cierpliwy blask wiecznie czuwającej nadziei.

Ten blask napelni fra-ciszkańską „Pochwałę stwor-nia”, zastąpienie w smuku gotyckiej katedry i poprzę-ć będzie drogę nowego oczekiwania.

ZYGMUNT KUBIAK.

Józef Lipiński

R O K I E A S K I

Wyraz jubileusz pochodzi bezpośrednio od hebrajskiego słowa „jobel”, co oznacza „rozradował się”. Już w czasach Starego Testamentu tym właśnie słowem oznaczono każdy rok pięćdziesiąty, który istotnie stawał się rokiem radości i rokiem łaski. Tę tradycję przejął później Kościół Katolicki i najpierw co sto lat, później co lat pięćdziesiąt, wreszcie co lat dwadzieścia pięć zlewa na wiernych mocą nadanych sobie praw łaskę odpustu, tworząc znówu rok radości, a zarazem Rok Święty. Takim Rokiem Świętym będzie rok 1950.

Wszystkich, którzy interesują się szczegółami historycznymi tej podniosłej uroczystości odsyłam do gruntownego artykułu erudycyjnego Ks. Red. Jana Piwowarczyka, zamieszczonego w 40 numerze „Tygodnika Powszechnego” z października br. Wszystkich, którzy interesują się przygotowaniem do obchodu Roku Świętego, przypadającego obecnie, odsyłam do „Słowa Powszechnego”, które w kwietniu, w maju i czerwcu informowało szczegółowo swoich czytelników o postępie prac związanych z uroczystością. Na tym miejscu nie sposób powtarzać wszystkich zawartych tam informacji. W naszym artykule chodzić będzie o inną trochę stronę zagadnienia, które nie jest ani małe, ani błahe.

WIELKIE PRAWO I... ZGORZENIE

Śledząc historię Kościoła trzeba powiedzieć, że jednym z naczejnych miejsc w tym procesie zajmuje problem odpustu. To właśnie prawo odpuszczania nie tylko grzechów, ale także ich skutków było niejednokrotnie powodem nadużyć w samym Kościele, lecz co więcej i co ważniejsze było nieustannie atakowane i to w większym stopniu niż mogły to usprawiedliwiać te czy inne ludzkie ułomności, jakie w doczesnej wędrownie Kościoła pielgrzymującego czasem się zdarzały. Jest coś niepojętego w tym jedynym prawie udzielonym przez Boga, jedynej na świecie instytucji i ono właśnie stawało się powodem protestów, a nieraz także zgorzenia. To ostatnie wynikało zresztą najczęściej z niezrozumienia istoty odpustu i niechętniej interpretacji jasných zawsze zarządzeń nieomylnych w tych sprawach namiestników Chrystusa na ziemi.

Rok Święty w swojej istocie nie

jest niczym innym jak okresem udzielania odpustu zupełnego. Przy czym jubileusz ma dane sobie pewne szczególne przywileje. Różni się od innych odpustów zupełnych uroczystością i przywilejami określonymi w Bulli Jubileuszowej, która zawsze z tej okazji jest wydawana. Te przywileje są różne, tak jak różne bywają warunki wymagane do ich uzyskania. Zawsze jednak pozostają jako warunki niezbędne: spowiedź, Komunia Św., modlitwy w czasie nawiedzania kościołów.

Żeby zrozumieć dobrze istotę odpustu jubileuszowego i zdać sobie sprawę jak bezpodstawne i naiwne są interpretacje odpustów ze strony laików, trzeba parę słów powiedzieć o tym, czym w religii najszej jest grzech, kara i wina. Okazuje się wówczas, że wyobrażenie sobie odpustu jako czegoś zastępującego Sakrament Pokuty, rozgrzeszenie bez spowiedzi lub odpuszczenie grzechów, które ma się dopiero spełnić dowodzi co najmniej ignorancji jeżeli nie wprost złej woli.

Teologia katolicka ujmuje te sprawy następująco: rozróżniamy dwojaką stronę grzechu — to co właściwie i w ścisłym znaczeniu nazywa się grzechem, mianowicie zmażyć czyli winę zaciągniętą względem Boga przez uczynek grzechu i drugą stronę tj. powinność zadośćuczynienia czyli poniesienia kary za popełnione przeciw Bogu przestępstwa. Odpuszczenie grzechów w Sakramencie Pokuty jest usunięciem winy przez zlanie na grzesznika łaski męki Chrystusa. Jest to odpuszczenie całkowite dzięki wielkości ofiary Boga — Człowieka. Natomiast nie znika obowiązek zadośćuczynienia czyli poniesienia kary za popełnione przestępstwa. Łaska Sakramentu Pokuty jest tylko w pewnej części darowaniem kary, mianowicie kary wiecznej. Kara doczesna pozostaje i właśnie dla jej złagodzenia penitent otrzymuje do odbycia, pokutę po spowiedzi. Warto przy tym zanaczyć, że drobne modlitwy jakie otrzymujemy jako pokutę po spowiedzi w małym tylko stopniu usuwają karę doczesną. I gdyby nie właśnie odpusty czas oczyszczenia duszy byłby niepomiaralnie długi.

Tu możemy jasno zobaczyć, jaka jest istota odpustu. Odpust, który uzyskać można tylko po zmażaniu winy czyli po spowiedzi jest rozwiązaniem od kary. W terminologii

ściślej odpust jest aktem jurysdykcji kościelnej (nie sakramentem) spełnianym się in foro externo i polega właśnie na usunięciu doczesnych skutków grzechu. Odpust jednak nie zwalnia ani od obowiązku żałowania za grzechy ani z wyznawania grzechu ciężkiego i obowiązku oczyszczenia się z niego w Sakramencie Spowiedzi, ani od konieczności naprawiania szkody, ani wreszcie od znośnienia w duchu poddania się naturalnych skutków grzechu będących bezpośrednim jego następstwem jak wstydu, choroby czy temu podobnych. Jednak te naturalne skutki jeżeli nawet następują nie mają w oczach Boga charakteru kary, ale stają się jedynie próbą i okazją do zdobycia zasługi.

Natura więc odpustu jest jasna. Łaska udzielana wiernym jest tak wielka, że gdyby nie nadprzyrodzony charakter Kościoła byłaby trudna do pojęcia. Dobrze było by gdyby uświadomienie sobie tych rzeczy usunęło błędne pojęcia o odpuszczeniu i pozwoliło zrozumieć istotę jego nadprzyrodzonego charakteru.

R O K 1950.

Przygotowania do tegorocznego, obchodu jubileuszowego rozpoczęły się już w ubiegłym maju. 25-go zgodnie z tradycją w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, w sali tronnej w Watykanie, zgromadzili się na specjalnie wystosowane wezwwanie prefekta ceremonii członkowie Camery papieskiej. Pierwsze miejsca zajęli msgr. Dante prefekt ceremonii papieskiej wraz z towarzyszącymi mu ceremoniarzami, audytor Camery papieskiej msgr. di Jorio, msgr. Carcini arcybiskup Seleucji i dziekan kolegium promotoriuszy apostolskich. Ojciec św. przybył do sali w otoczeniu świty duchownej i świeckiej i zajął miejsce na tronie wokół którego ustawili się gwardziści.

Wówczas przystąpił do tronu regent kancelarii apostolskiej msgr. Bianchi-Caghesi i dziekan promotoriuszów msgr. Carcini. Uklękawszy msgr. Caghesi trzymając w ręku bullę datowaną tego samego dnia prosił Ojca Św. o pozwolenie publicznego odczytania. Ojciec Św. wziął bullę z jego rąk i wręczywszy ją msgr. Carcini wyrzekł: „Legatur” (Niech będzie przeczytane).

Następnie Ojciec Św. po wypowiedzeniu kilku słów podkreślających duchowe znaczenie Roku Świętego udzielił obecnym Apostolskiego Błogosławieństwa.

Po zakończonej ceremonii msgr. Carcini przekazał kopię bulli ceremoniarzom papieskim celem odczytania ich w trzech bazylikach patriarchalnych. W tym samym momencie odezwały się dzwony wieńczące radosną nowinę wiecznemu miastu i całemu światu.

Przedstawiona przed chwilą ceremonia była, rzecz prosta, i tylko zewnętrznym wyrazem przygotowań do wielkiego okresu w Kościele. Prócz niej bowiem wszystkie niemal poczynania katolickie na całym świecie już w ciągu roku 49 były związane z Rokiem Świętym. We Francji na przykład biskupi ogłosili Rok Maryjny jako przygotowanie sumień do Roku Świętego. Wydane wówczas listy pasterskie uderzają swoją głębią i troską o świętość wszystkich chrześcijan i przyszłość Kościoła Katolickiego. Międzynarodowy Kongres Misjyny

także wiąże się z uroczystościami jubileuszowymi. Wszędzie przeważa myśl wyrażona w bulli Ojca Św.: „Uświęcajcie się, bądźcie świętymi, bom i ja jest święty Pan Bóg wasz”

WNIOSKI KOŃCOWE

Rok Jubileuszowy nie pokrywa się z rokiem kalendarzowym. Trwa od Bożego Narodzenia 1949 roku do Bożego Narodzenia roku 1950. Rozpoczyna się uroczystym otwarciem drzwi bazyliki św. Piotra dokonany osobicie przez Ojca Św. Delegowani kardynałowie otworzą drzwi czterech innych kościołów Wiecznego Miasta. Później następują dalsze uroczystości, a przede wszystkim pobożne nawiedzanie kościołów. Bo Rok Święty jest nie-

rozwiązalnie związany z pielgrzymką wiernych do Wiecznego Miasta przewidywany jest przyjazd ok. 90.000 pielgrzymów. Stąd wielkie roboty budowlane, stąd zarządzenia porządkowe tworzenia nowych hoteli i miejsc noclegowych.

Najważniejszym przecież staje się sam fakt zjazdu wiernych. Jedność i powszechność Kościoła zostanie zmanifestowana tak silnie jak to się dzieje jedynie co ćwierć wieku. Różnice języków, koloru skóry, obyczajów, ukazują raz jeszcze swoją nicność. W obliczu Boga jesteśmy wszyscy tymi samymi dziećmi zębrzącymi łaski, ale dziećmi zjednoczonymi w Świętym Apostolskim Kościele Rzymskim.

Józef Lipiński

Alina Świdarska

W sprawie inscenizacji „Dziadów”

W nrze 47 „Tygodnika Powszechnego”, pisze p. Peiper o inscenizacji „Widzenia ks. Piotra”. Ponieważ ta kwestia, jak w ogóle sprawa inscenizacji „Dziadów” interesuje mnie od dawna, a nawet kiedyś pisałam coś o tym, ośmielałam się więc — *toute proportion gardée* — dodać tu parę uwag.

Przed wszystkim owo „czterdzieści i cztery”. Ludzie już od stu lat z górą usiłują na próżno rozwiązać tę zagadkę. Mickiewicz, gdy go zapytywano, kogo miał na myśli tworząc ową tajemniczą postać z „Widzenia”, uśmiechał się tylko, lub dawał odpowiedzi wymijające, mamy więc wszelkie prawo przypuszczać, że to miał być on sam. Natomiast co do tej cyfry tajemniczej, odpowiedział Gósczyński szczerze i po prostu, że... nie wie. Mówił zresztą nieraz, że w chwili, gdy improwizuje, wszystko jest dla niego jasne, ale zaledwie ja chwila minie, nie już nie pamięta (to samo mówi o sobie wielu wizjonerów). Co do mnie, jestem najzupełniej przekonana, że była to tylko przenośnia poetycka w stylu biblijnym.

Wiadomo, że Mickiewicz rozczytywał się w Apokalipsie i sam nieraz przemawiał tym stylem. Wiadomo również, iż zasadniczą cechą natchnienia poetyckiego są błyskawiczne skróty myśli i że w tej rwącej fali widać nie ma miejsca na zawile rozumowania. Wydaje mi się zatem naturalne, że w tym rytmicznym pędzie nasunęło mi się samo przez się, niby zakończenie frazy muzycznej, rymujące ze słowami: „dawne bohaterzy”, owo: „imie jego będzie czterdzieści i cztery”.

To samo mniej więcej dotyczy owego: „anioł - pachole”. Nie przeczę bynajmniej, że podstawą jest tutaj wiara w odwieczną mądrość gminu. Dawał przecież temu Mickiewicz wyraz zawsze, zaczynając od ballady „Romantyczność”. Nie przeszkadza to jednak, że zarazem należy te słowa rozumieć literalnie, jako oznaczające anioła pod postacią pacholecia. To pachole prowadzące ślepcę jest przecież figurą klasyczną w poezji już od czasów tragedii greckiej, czy nawet wcześniejszej.

Co do skreśleń proponowanych przez p. Peipera, nie wydają mi się one wskazane. Nie wiele by wyjaśniły, a cały tekst „Widzenia” tak

jest powszechnie znany, że wszyscy, jak sądzę, odczuli by brak oczekiwanych zwrotów. Rzeczą zaś jest aktora tak urzec słuchaczy, żeby zapomnieli o wszystkich niejasnościach pod czarem poezji bijącej ze sceny. Widziałam w tej roli niegdyś Solskiego, później Osterwę. Pojmowali ją odrębnie, każdy po swojemu, ale i w jednym i w drugim wypadku wywarli potężne, niczym nie zmącone wrażenie.

Ogromnie natomiast ucieszyła mnie myśl zrzucona w artykule, żeby wprowadzić na scenę w „Dziadach” efektu kinowego, ponieważ jest to i moim marzeniem (wyrażonym kiedyś w druku), choć ja myślałam głównie o scenie z widmami. Wydawało mi się zawsze, ilekroć widziałam to na deskach scenicznych, że najwłaściwszym byłoby rzucenie na ekrany zastępujące okna, postaci złego pana i szarpiące go „sowy, pułaczki, kruki”, jako plaki istotne, — przy jednoczesnym wygłaszaniu tekstu z za kulis, zamiast wprowadzania na scenę żywych chłopów, co się okazuje stale efektem chybionym. To samo z postacią pasterki i dwójką dzieci „kręcących się pod cerkwia wierzchołkiem”. I jedno i drugie aż się prosi o taką właśnie realizację.

Wreszcie stanowczo się nie zgadzam z tym, co mówi p. Peiper, że „intelektualna potwornością” jest sądzić, iż Mickiewicz naprawdę wierzył w istnienie aniołów i diabłów i w ich oddziaływanie na losy ludzkie, gdyż pojmował on te wierzenia tylko „jako upostaciowanie doświadczeń życiowych”, podobnie jak i Goethe. Przeciwnie, Mickiewicz znał czarną magię zarówno jak Goethe (ten ostatni nawet studiował ją bardzo dokładnie, czego dowodem nie tylko „Uczeń czarnoksiężnika”, ale zwłaszcza „Noc Walpurgi” w „Faustie”) i obydwaj byli przekonani o personifikacji tych sił nieznanych, które władają w dziedzinie parapsychicznej. U Mickiewicza zaś ponadto łączyło się to z wiarą religijną w pierwiastek nadprzyrodzony w życiu ludzkim. Chociaż więc niewątpliwie p. Peiper ma słuszość, gdy twierdzi, że poeta nie pojmował tych rzeczy „prymitywnie” — nie mniej sądzę, że anioły i diabły występujące w „Dziadach” należy traktować całkiem realnie.

Alina Świdarska

List dwunasty

(Dokończenie ze str. 3)

— Ah, więc to tak wyplacili ci się za twoje starania przy ich Dziecku — powiedziałem przez zęby. — Nie dziwię się, jeśli przeklinasz ich pamięć. Jeśli nie żałujesz...

— Nie... — powiedziała nagle cicho, — nie żałuję... Zatrzymałam się.

— Jaki? — zawołałam — Nie żałujesz wszystkich swych starań? Nie żałujesz, że musiałaś przy nich biegać, opiekować się nimi, gdy to oni... gdy to On... On... — zabrakło mi słów by wypowiedzieć całe swe zwątpienie.

— Nie — rzekła.

— Nie żałujesz syna? — wybuchnąłem.

— Oh — westchnęła tylko zamiast odpowiedzi.

— Nie rozumiem cię — ciągnąłem. — Przecież gdy dowiedziałas

się o gwieździe i o tych głosach, niewątpliwie sądziłaś, że Ten, który się narodził, nie jest zwykłym dzieckiem. Czy cię nie zabolalo, gdy potem pokazało się, że mimo gwiazdy i mimo głosów, to było tylko zwyczajne dziecko ludzkie, jakich są setki i tysiące? Że zamiast aby zmieniło twój los, ty musiałaś stracić się o to, by Ono nie zmarło i nie umarło z głodu? Czy ci to wszystko nie kazało nie nawidzieć tamtych przybyszów?

— Nie — odpowiedziała.

— Nie rozumiem cię — powtórzyłem. Dlaczego mimo wszystko gotowa jesteś, jak wtedy, mordować się dla Niech?

Nie wiem... — wyznała.

I ja też nie wiem, Justusie, dlaczego, wciąż idę za Nim, choć jest tak bardzo człowiekiem, mimo, że innym niż my wszyscy...

Jan Dobraczyński

Popierajcie

KATOLICKI

UNIWERSYTET

LUBELSKI

Maciej J. Kononowicz

OSACZENI PRZEZ BOGA

KOLEDA PO XX WIEKACH
CHRZĘSĆJANSTWA

Przynieśli Ci tyle podarków,
tyle uśmiechów i muzycznego zgiełku —
i kwiaty żywe — bez żartów!
I paczki od Gajewskiego —
A ta pani w fokowym futrze
w „Dziś i Jutrze“ znalazła „STAJENKĘ“ —
Przyniosła. Czyta wierszyki —
a ta druga śpiewa piosenkę
Tobie — zrozum Jezusku — Tobie
s p e c j a l n i e, przy zwykłym żłobie!
...Zapachniały dobre perfumy
i przygłuszyły odór bydłocy —
i tak się jakoś czyściej zrobiło
w tej p r a w d z i w e j stajence.
Powlekli Cię w miękkie pieluszki,
żeby później w prasie nie opisali,
że się obeszlą z Jezusem,
jak zli poganie...

Miałeś — Synku Maryi — oczy starca
smutne bezbrzeżnie, tragicznie wnikliwe,
patrzyłeś ponad — poprzez — poza —
jakbyś czekał na przyjście czyjeś...
Przyszeli. Spojrzali.
Uciekli zgiełk, śmiechy i... cóż? —
niechlujny, zarośnięty, w łachmanie
stał Człowiek — zebrał z Alei Róż —
DŹWIGAŁ KRZYŻ PRZEZ RAMIĘ
Twój Krzyż — Synku Boga —
I — mimo... i pomimo...
PADEŁ NA TWARZ —

ŁASCE NAPRZECIW

(ks. Z. Franczewskiemu)

Pomyśl, bracie: może być tak,
Ze raz tylko i NIGDY więcej
Przejdzie obok i da ci znak
Chrystus żywy z krzyżem na ręce.

Choćbyś trądem zwarzoną miał krew,
Krzykiem: CHCĘ zatrzymasz Go. Stanie.
Wtedy, bracie, jak ogień z drew
Buchnie w tobie miłość bez granic.

Nie wygaśnie (nie będziesz chciał!)
Twe płonące wiecznym ogniem serce —
Pomyśl: moment krótki, jak strzał.
Jeden okrzyk CHCĘ — i nie więcej!
Pomyśl, bracie: może być też,
Ze raz tylko będzie cię mijał —
Przejdiesz obok, pójdziesz pod wiatr,
Byle dalej Światła i Krzyża,
Że zębami rozgryziesz krzyk,
Który mogłeś tylko ty wyzwolić —
Wtedy, bracie, już n i g d y i n i k t,
Nawet Chrystus... bez twojej woli...

Kiedy jeszcze nie nadszedł dzień,
Co się zjawia cicho jak złodziej —
Weź, braciszku, krzyż swój i wyjdź,
Wyjdź naprzeciw Wielkiej Przygodzie.

PIERWSZA KOMUNIA ŚW.

Ostre żagielki jaskółek prują błękit
Mrużysz oczy — taka jasność, pęd i głębia —
Z lasu ufnie wyszły mechałe sarenki.
Z łuku tęczy puszczasz srebrnego gołębia.

CZWARTE PRZYKAZANIE

Twojej matce srebrną pajęczynę
Wiek i troska na skroniach uprzedły,
Twojej matce — gdy brakło jej skrzydeł —
Ludzkie ręce opadły i zwiędły.
Twemu ojcu skamieniały dłonie,
Zmarszczki uśmiech skreśliły — na zawsze.
Ojca twego — gdy zgasły pochodnie —
Sny odbiegły, męskie sny o walce.
— — — — —
Gdy padają pod krzyżem samotnie,
Twoje — synu — podźwignie ich ramię —
Od nich wzięłeś skrzydła i pochodnie
A od Boga: czwarte przykazanie.

O POWRÓT

Mówiłeś do mnie — o czym?
Słowa grzęzły gdzieś przede mną, w drzewach —
Czekały na potem.
Oczy tuliłem w błękit i powoje,
Słuch gubiłem w martwocie obłoków,
Myśl — w tobie.
Czekałem —
Czekałem na coś, co miało powrócić,
Co było z tobą w modlitwie dziecięcej;
Abyś wierzył —
Na to tylko. Na nic więcej.

DROGA KRZYŻOWA

Z grubego pnia wyluskiwał
Prostym kozikiem i dłutem
W caliznę wtopione kształty
Matki Bolesnej z Jezusem.
Dzień po dniu i noc za nocą.
Aż dłoń splekana krwawiła,
Z pnia wydobywał przemocą
Matkę Bolesną i Syna.
Każde muśnięcie żelazem
I każdej łupinki odprysk
Były wciąż nowym olśnieniem,
Jak piorun i jak wodotrysk
I musiał jak lustro wchłonać
Najmniejszą zmarszczkę z Jej Twarzy.
By ból heroldyczny pojąć
I w drzewie prawdę wyrazić.
I musiał doznać i przeżyć
Na swoje siły człowiecze
Krzyk serca Boskiej Macierzy,
Siedmiokroć ciętego mieczem.
Tak tworzył na chwałę Bogu
I z Boga czerpał podniecie
Wsiowy artysta-samouk,
W pniu drzewa rzeźbiący Pięte.
— — — — —
Twórczość jest — Droga Krzyżowa,
Praca jest — hymn i modlitwa:
Szczęśliwy kto modlić się umie,
Kto w Drodze Krzyżowej wytrwa,
Bo — choćby z Stwórcą się drożył —
Gdy Prawdę tworzy i Piękno,
To — nie wie tylko, że służy
Bogu, przed którym klęknął...

SPOWIEDŹ

Ojcu J. Ziejł

Noc — jest akord zlocistych klawiszy —
Dzień — błękitem podpalona preria.
Ogluszony — chodzisz i nie słyszysz,
Oślepiiony — ciało drzesz na cierniach.

Szukasz braci wśród tysiąca twarzy —
Z oczodołów, w których szkli się pustka,
Odczytujesz siebie tysiąc razy,
Tysiąc razy z grymasem na ustach.

Imionami nawołujesz, krzyczysz —
Płyną kukły — woskowa galeria...
Noc — jest akord zlocistych klawiszy —
Dzień — błękitem podpalona preria.

Tropisz siebie, chowasz się przed sobą.
Z nóg otrząsas monstrialne cienie —
Rozpacz w tobie — a nie poza tobą:
Nie uciekniesz przed własnym sumieniem.

Za tą kratką siedzi kruchy człowiek
Mówisz: — Ojciec... i fala się zrywa:
Pychą z serca, lżą żalu spod powiek —
Wschodzi miłość: pokorna i tkliwa.

Tak wyraźnie słyszałeś lot krzyża,
Który sfrunął z prawicy kapłana!
Już nie szukasz nikogo, nie wzywasz.
Powróciłeś, odnalazłeś PANA.

MIESIĄC MARII.

Są jak żagle te krzaki jaśminu i bzu
Płyną — płyną — kołyszą i niosą —
Niebo chlustem przez burtę — a łódź
Widnokretem lesistym okuta i wiosną.

Słuchasz, Panno Przedziwna, gdy na
Anioł Pański
Zadzwońią sygnaturki skrzydlate —
skowronki.
Uśmiechasz się: nad Tobą motyl w wiet
rze tańczy
I szkiełkami witraża odgarnia żar z łąki.

Są jak lustra błękitne — to niebo i staw —
Spójrz: u góry i dołem — to samo,
Krzak, obłoki — obłoki i krzak —
Zalowane u brzegów wracająca falą.

Wiosna. Wiosny nie chwycę i dlonią
nie wskażę,
Przecież czuję, nazywam, chłonę — i rozdaję.
Kwieciem opływa krzyże, figurki, ołtarze...
Uśmiechasz się. Z uśmiechem Twym,
Mario, jak z majem.

Wniebowzięta... a przecież wiem, że się
uśmiechasz,
Majem złoto-zielonym i przyplywem serca,
I miłością, zbudzoną w istotach i rzeczach,
Kiścią bzu i jaśminu i sznurem różańca...

Zygmunt Lichniak

POWOJENNA LITE

(Próba

Podjmując próbę syntetycznego ujęcia pięcioletniego dorobku powojennej literatury katolickiej w Polsce, zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństw i trudności zadania. Syntetyzowanie zjawisk — mimo pewnej wspólnoty natury — różnorodnych, grozi schematyzacją i upraszczaniem. Brak większej perspektywy popchnąć może ku błędowi niewłaściwej hierarchizacji poszczególnych zagadnień. Mimo tych okoliczności wydaje się słusznym sporządzenie ogólnego bilansu pięciu lat rozwoju naszej literatury katolickiej. Ewentualne błędy okupić może przydatność takiej syntezy dla sformułowania ogólnych wytycznych, które — choćby należało je potraktować tylko dyskusyjnie — pomóc mogą w rzeczowym ocenianiu tego, co pisarze katolicy w powojennej Polsce dokonali i tego, czego dokonąć jeszcze powinni.

Nie znaczy to, abyśmy całą działalność katolicką sprowadzali do literatury. Nie znaczy to także, abyśmy działalność kulturalną katolików w Polsce powojennej zwięzli do działalności literackiej. Ograniczając się do ogólnego omówienia spraw literatury katolickiej, chcemy konkretnie określić przedmiot naszych rozważań, mając przekonanie, że może on niejako stanowić pars pro toto, napewno zaś jest jednym ze składowych elementów całości życia katolickiego, które jakoś określamy rozpatrując i oceniając jedną z jego części składowych. Można wychodząc ze spostrzeżeń w tej dziedzinie poczynionych dojsz metodą indukcji do wniosków ogólniejszej natury. Z tego wynika, że ocena poziomu i osiągnięć współczesnego piarstwa katolickiego jest — mutatis mutandis — oceną ogólnej sytuacji kulturalnej katolicyzmu w Polsce współczesnej.

Świadomość tego integralnego związku wszystkich dziedzin życia zwiększa niebezpieczeństwa, o których była mowa na początku. Ale równocześnie utwierdza nas w przekonaniu o przydatności takiej próby.

KROK NAPRZOD

Pierwszym określeniem, jakie narzuca się przy wstępnym opisie problemu jest określenie porównawcze, wynikające z zestawienia ogólnego poziomu twórczości i myśli katolickiej przed wojną i po wojnie. Z porównania tego wynika, że okres powojenny jest okresem większej dojrzałości oraz intensywniejszej pracy twórczej.

Tłumaczyć się to może obiektywnym układem warunków zewnętrznych jak i wewnętrznym procesem ciągłego rozwoju. Warunki zewnętrzne w Polsce powojennej sprawiły, że katolicy — przezwyciężając się światopoglądowo zorganizowanej akcji innego przelotnego im filozoficznie światopoglądu — musieli wypracować precyzyjniejsze, skuteczniejsze niż dawniej środki obrony i propagandy tych wartości, które dla nich są najistotniejsze. Intensyfikacja sporu ideologicznego spowodowała u katolików pogłębienie postawy wobec uznawanego systemu wartości, a tym samym spowodowała zdynamizowanie tych procesów wewnętrznych, których najszlachetniejszym wyrazem jest twórczość. Zdynamizowanie musiało procesów wewnętrznych oznaczać przybieranie na sile już wcześniej, w czasie wojny, która poprzez swoje bestialstwa i klimat wzajemnej nienawiści zwracała większą uwagę ku tej ideologii, która wyklucza bestialstwo i nienawiść, głosząc chrześcijańską sprawiedliwość i miłość.

Pod wpływem tych bodźców dojrzejeli i krzepli w katolicyści lub do katolicyści dochodzili nowi ludzie, którzy przed wojną byli bądź nieznanymi, bądź wrodzimi i obojętnymi wobec Kościoła. Ich wysiłki, zespolone z bardziej już teraz świadomymi swoimi celami grupą dawnych działaczy katolickich, pogłębiły nurt kulturalnego życia katolickiego.

Wystarczy porównać jakiś dokument zbiorowej myśli katolickiej Polski przedwojennej (np. wydaną przez Związek Polskiej Inteligencji Katolickiej pracę zbiorową pt. „Postawa katolicka wobec kryzysu” — Lublin 1933, str. 141) z artykułami publikowanymi w czołowych czasopismach katolickich Polski powojennej, aby stwierdzić, że postęp w tej dziedzinie nie ulega żadnej wątpliwości. Wystarczy także porównać rozproszone, choć nieraz świetne wystąpienia publicystów katolickich przed wojną z dzisiejszymi już wyraźnymi, zorganizowanymi, chociaż nie zawsze jeszcze we wszystkim zgodnymi akcjami współczesnych działaczy katolickich, aby stwierdzić, że i w tym zakresie postąpiono naprzód w kierunku bardziej świadomego, precyzyjnie określonego dążenia ku zwycięstwu światopoglądowej prawdy katolickiej we wszystkich podporządkowanych jej dziedzinach. Podobnie rzecz ma się z wystąpieniami literackimi. Nabrały one większego ciężaru gatunkowego, większej wyrazistości światopoglądowej, większej ambicji reprezentowania wartości kultury katolickiej, większej zdolności odgrywania konkretnej roli w kształtowaniu nowego modelu kulturowego.

Stwierdzenie to wymaga zastrzeżeń, dotyczących kilku nielicznych przed wojną wyjątków, ale wyjątki te — jak to widocznie już wszystkie wyjątki do końca życia będą robiły — potwierdzają tylko regułę.

ZMAGANIA ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ

Z obiektywnego stwierdzenia postępu literatury katolickiej nie wynika jednak twierdzenie, że w obecnej sytuacji spełnia ona swoją rolę doskonale, że w obecnym układzie warunków i potrzeb wywiązuje się bez zarzutu z wszystkich, nakładanych na nią przez epokę, obowiązków.

Drugim określeniem jakie narzuca się przy dalszym opisie problemu, jest określenie postulatów, wynikające z zestawienia ogólnego poziomu dzisiejszej twórczości i myśli katolickiej z ogólnym postulatami objęcia przez nią we władanie wszystkich dziedzin życia współczesnego. Innymi słowy: współczesna literatura katolicka w Polsce przerasta katolicką literaturę przedwojenną, ale nie dorasta do zadań, wynikających z maksymalistycznych tendencji rozwojowych katolicyzmu.

Przyczyn tego zjawiska należy doszukiwać się w wewnętrznym stosunku katolików do zagadnień życia zewnętrznego i w przemianie stosunków społeczno-politycznych, które wyprzedziły proces doświadczenia wewnętrznego. Wyjaśnienie to nawet w najogólniejszym szkicu wymaga szczegółowszego komentarza.

Stosunek katolików do zagadnień życia wewnętrznego grzeszy brakiem dostatecznego rozumienia

i doceniania ważkości spraw wewnętrznych, np. społecznych czy politycznych. Życie wewnętrzne jest i powinno być dla katolika życiem najistotniejszym, ale najwyższym już czas, aby wszyscy zrozumieli, że życie wewnętrzne nie jest i nigdy nie było autonomicznym zespołem procesów psychologicznych. Nigdy żaden człowiek nie żył w próżni społecznej. To zobowiązuje do baczniejszego i wnikliwszego ustosunkowania się wobec tzw. spraw zewnętrznych. Lekceważenie ich to lekceważenie życia pełnego i prawdziwego. Naszym zdaniem wnioski takie wypływa nie tylko z obserwacji nie tylko z doświadczenia, ale — i to chyba przede wszystkim — z poprawnej analizy, lub choćby tylko głębokiego przeżycia prawd wiary chrześcijańskiej.

Nie wszyscy doceniają ważność konsekwencji, wynikających z tego wniosku. Wśród twórców literatury katolickiej znajduje to swój często negatywny wyraz w uprzywilejowaniu tematyki pośrednio tylko, a często zbyt pośrednio łączącej się się z nurtem współczesności. Wpływa to w sposób hamujący na możliwość kształtowania tego nurtu, na szanse współtworzenia ustalających się modeli społecznych i politycznych. Faktycznie więc pozostaje jedynie ewentualny wpływ na ustalanie lub wzbogacanie krystalizującego się modelu kulturowego. Wpływ na model kulturowy jest bardzo cenną i bardzo istotną funkcją literatury, ale byłby on o wiele konkretniejszy, gdyby uwzględniano oczywisty fakt, że i kultura jest uwarunkowana, chociaż nie zdeterminowana, kontekstem epoki. Uwagi te, nie przekreślają bynajmniej postulatu ponadczasowości literatury katolickiej. Ponadczasowość ta wyrażać się może i powinna w specyficznym ujmowaniu określonych problemów naszego czasu, w podnoszeniu rangi wydarzeń przyrodzonych do nadprzyrodzonych, w tłumaczeniu codzienności na język spraw wiecznych. Wynika z tego także, że i tematykę niewspółczesną ujmować można w sposób ułatwiający rozumienie współczesności. Jest to wielka szansa powieści historycznej. O niej jednak przyjdzie pomówić osobno. Teraz ważne jest dla nas twierdzenie, że brak zrozumienia wielkiej, choć nigdy nie największej, ważności spraw zewnętrznych, którymi w konwencjonalnym ujęciu są problemy społeczno-polityczne, osłabia konstruktywną rolę współczesnej literatury katolickiej w oddziaływaniu na krąg zjawisk, warunkujących życie wewnętrzne, chociaż nie stanowiących jego elementu zasadniczego.

Z tym brakiem łączy się nierozdzielnie brak drugiego: opóźnienie procesu doświadczenia wewnętrznego. Przez proces ten rozumienie ustalenie postawy twórcy wobec otaczającej go rzeczywistości. Nie kończy się ten problem tylko w regionach socjologii czy polityki, ale sięga dalej, bo ku perspektywom rozwojowym i ponadpolitycznym, jakie stwarza konkretna rzeczywistość. Literatura powinna tę rzeczywistość wyprzedzać, a nie dopędzać ją z dość dużym opóźnieniem.

Dość dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, że obiektywnym stanowiącym cechą sensu katolickiego każdego dzieła, łatwiej zachować utrzymu-

jąc pewien dystans wobec przedmiotu. Podjęcie tematyki współczesnej zmniejsza ów dystans, osłabiając szansę rzetelnej obiektywizacji. Nie znaczy to jednak, aby siła wyznawanego światopoglądu, siła talentu nie stwarzała warunków dla pokonania tej trudności. Katolicy przede wszystkim zrozumieć powinni sens mickiewiczowskiego wezwania:

„Niech każdy jak ów Greczyn
[głosi dzielność swoją,
Silniejszy jestem — cięższą
[podajcie mi zbroję”.

Tyle uwag wstępnych. Dalsze rozważania wypadnie nam poświęcić ogólnemu omówieniu problemu katolickiej prozy artystycznej, pozycji i krytyki literackiej.

POWOJENNA PROZA KATOLICKA

W powojennej katolickiej prozie artystycznej, zdecydowaną przewagę ilościową zyskała powieść historyczna. Twórczość Malewskiej, Gołubiewa, Grabskiego, Dobraczyńskiego, Parnickiego, aby ograniczyć się do najwybitniejszych przedstawić cieli powieściopisarstwa katolickiego w Polsce powojennej, przejawia się przede wszystkim w historycznej retrospekcji, w szukaniu artystycznego kształtu dla opisu i analizy zjawisk minionych. Fakt ten jest niewątpliwie konkretną ilustracją negatywnej tezy, sformułowanej we wstępie. Jednak byłoby z naszej strony dużym przeoczeniem i błędem, gdybyśmy poprzestali na takim tylko stwierdzeniu. Fakt ten bowiem ma nie tylko swój sens ujemny, ale kryje także wiele pozytywnych i dla ogólnej oceny bardzo istotnych momentów.

Każda z katolickich powieści historycznych, chociaż stanowi w pewnym stopniu przejaw niepokojącego nas braku chęci bezpośredniego ingerowania w rzeczywistość współczesną przez aktualizację tematyki, jest próbą uchwycenia w przeszłości pewnych constansów historycznych, na których można opierać rozumienie całych dzieł ludzkich, a więc i dzieł epoki współczesnej. Jak głęboką artystycznie i koncepcyjnie może być taka próba w ujęciu pisarza katolickiego najlepiej świadczy niewątpliwie powieść Hanny Malewskiej pt. „Kamienie wołać będą”. Powieść tę wymieniamy tutaj jako przykład tych osiągnięć powieści historycznej, które mimo wszystko czynią z niej powieść prawie współczesną.

Pierwsze fragmenty wielkiej pracy Gołubiewa, chociaż nie uprawniają jeszcze do oceny całości, pozwalają już na wskazanie w tego rodzaju koncepcji tych momentów, które stanowią konkretny wkład pisarza w rozpoznawanie prawdy o bardzo istotnych pojęciach narodu, władzy i wzajemnego ich stosunku do człowieka, a także do idei chrześcijaństwa. Mocowanie się z trudnościami tematu, wrąbywanie się w skamieniałą już epokę historyczną dla wydobycia takiej prawdy jest przedsięwzięciem zasługującym na baczność uwagę i wymagającym od czytelnika intensywnej, twórczej współpracy myślowej.

Powieść Grabskiego reprezentuje mniejsze już ambicje, chce bowiem być tylko artystycznym wykresem historycznego procesu asymilacji idei chrześcijańskiej na terenie polskim oraz możliwie dokładnym

wizerunkiem, artystyczną mapą podbojów oręża polskiego na północy.

Ciekawszą już próbę podejmuje Dobraczyński, którego powieści historyczne służąc mają wyjaśnianiu prawd chrześcijańskich poprzez analizę świętości, opartą na mniej lub więcej konkretnym materiale monograficznym.

Twórczość Teodora Parnickiego rozwijająca się zagranicą w zupełnie odmiennej sytuacji, w warunkach, które różnią się dosyć zasadniczo od warunków w jakich podejmowali swoje prace inni powieściopisarze polscy, wymagałaby specjalnego omówienia. Powieść ukazująca w doskonałym niemal kształcie artystycznym mechanizm oddziaływania skomplikowanego układu sił zewnętrznych, warunkujących, a nawet — według pewnych niebytnie zresztą zgodnych z katolicką koncepcją człowieka wywodów autora — determinujących wszystkie, a więc i wewnętrzne procesy rozwojowe ludzi i narodów. Wysiłek twórcy Parnickiego stanowi jednak poważny wkład w ogólne poznanie dynamiki dzieł ludzkich.

Wszystkie te wysiłki powieściopisarzy historycznych stanowią niewątpliwie istotny element w poznawaniu i dokumentowaniu katolickiej prawdy o świecie i życiu, ale wszystkie pozostawiają nie zawsze wyrobionemu dostatecznie czytelnikowi trud stworzenia własnego komentarza, wyjaśniającego współczesny sens relacji historycznej.

Istnieje obawa, że komentarz ten sprowadzi się do płytkich, choć bardzo nieraz istotnych wniosków natury drugorzędnej. Powieść Grabskiego może być wtedy zinterpretowana jako argument za odwiecznym prawem Polski do morza, powieść Gołubiewa może stać się w takim ujęciu tylko obroną Ziemi Zachodnich. Będą to interpretacje słuszne tylko w odniesieniu do wtórnych, ubocznych intencji utworu.

Oczywiście zawsze pozostaje oddziaływanie artystyczne dzieła, uzasadniające jego obiektywny sens i przydatność.

Nikt jednak, nie zaprzeczy, że tę samą funkcję może spełniać powieść o tematyce współczesnej.

Powieści współczesnej, spełniającej postulat odpowiedniej głębi koncepcyjnej i odpowiedniego poziomu artystycznego, katolicy właściwie jeszcze nie stworzyli. Żukrowski wykazał wielki talent, ale jego rozumienie chrześcijaństwa nie pozwoliło mu wyjść poza negatywne tezy „Ręki ojca”, czy niekiedy „Opowiadań przetrwałych”. Dobraczyński wykazał głębokie rozumienie idei katolicyzmu i jej roli we współczesności, ale pośpiech i niedostateczna troska o poziom artystyczny dzieła zawiąły przy powstawaniu „Najeźdźców” lub skazały autora na ograniczenie się do małych form „Strasznego domu”. Dobraczyński jednak jest najwytrwalszym z zmagających z współczesnością. Jego pierwsza po wojnie książka poświęcona była sprawie Powstania Warszawskiego. Oprócz „Najeźdźców” i „Strasznego domu” może na swoim koncie zapisać „Szatę godową” i broszurę o Ojcu Kolbie. Ostatnie nowele („Jeep” drukowany swego czasu w „Słowie Powszechnym”, „Strzały za horyzontem” drukowane obecnie w „Dziś i Jutro” i jeszcze dwie

RATURA KATOLICKA

syntezy)

rzeczy dotąd nieopublikowane, złożą się na tom, stanowiący dalszą kontynuację ambitnych zmagañ. Zdawało się, że Grabski, który przed wojną w swoich „Braciach” i pierwszej części trylogii o Sadoku („W cieniu kolegiaty”) wykazał ambicję oceniania i analizowania wydarzeń współczesnych, da po wojnie coś więcej oprócz „Konfesjonału”. Ta dwu tomowa powieść jest jednak — jak dotąd jedynym przejawem jego ingerowania w problematykę społeczną (jeśli nie liczyć pracy monograficznej „200 miast powróciło do Polski”). To — biorąc pod uwagę możliwości autora — bardzo dużo, ale — biorąc pod uwagę potrzeby — za mało. Próba Paukszy, najbliższa może ideałowi aktualizacji problematyki, najdalsza jest jednocześnie od zgodności z rygorami artystycznymi, od możliwości spełnienia postulatów, jakie każdemu dziełu, mającemu ambicję artystyczne postawić trzeba. Temu samemu zarzutowi ulec muszą opowiadania Baka i późniejsze nowele Morcinka. Pierwsze powojenne książki śląskiego pisarza („Listy spod Morwy” i „Listy z mojego Rzymu”) stanowią natomiast dowód, że katolicki pisarz ma największą szansę w zrealizowaniu zadania, jakie stoi przed katolicką literaturą powojenną. Zadanie to sprowadza się bowiem do konieczności przewyciężenia wojny, przewyciężenia tych wszystkich fałszywych sugestii moralnych, jakie mogła ona wpoić w ludzi, przewyciężenia antyhumanistycznej niewiary w człowieka, przewyciężenia kompleksów oporów i zahamowań, tego wszystkiego co utrudnia rozwój wartości ludzkich. Aby takie zadanie wykonać, trzeba było zapuścić się wspomnieniem w gąszcz tragicznych dni minionej wojny, trzeba było ją przeżyć powtórnie, rozładować trzymające się w mroku pamięci miny nienawiści, nieufności i zła. Morcinek pierwszy podjął taką próbę. Jemu pierwszemu taka próba się udała. Tym większa szkoda, że później był już mniej czujny jako artysta, a tym samym mniej zwycięski jako „minier wspomnień”. Tu nasuwa się dziwna uwaga. To, czego nie udało się dokonać powieściopisarzowi katolickiemu, zrealizował na miarę swoich sił dramaturg. „Ocalenie Jakuba” czy „Mąż Doskonały” są udanymi próbami wyjaśnienia nadprzyrodzonego sensu potwornych zjawisk minionej wojny. Zawieyskiemu więc — jako dramaturgowi, a nie powieściopisarzowi — udało się stworzyć za pośrednictwem swoich sztuk rodzaj artystycznej przerzutni za palacą aktualnych spraw doczesności w problemy wieczyste. Powieści Zawieyskiego — świetne pod względem artystycznym i niezwykle głębokie, choć nie zawsze przekonujące w motywacji psychologicznej — omijają jednak konkretnego człowieka rozważając raczej sprawy ludzkie niejako „same w sobie”, co sprawia, że ich ponadczasowe rozwiązania mogą być przedmiotem twórczej i obfitującej w pozytywne związki dyskusji, ale nie mogą trafić do czytelników bezpośrednio, nie mogą umacniać ich wiary ze współczesnością, nie mogą jej wyjaśniać konkretnie, realnie, nie mogą tym samym wykorzystywać wszystkich szans powieści współczesnej.

Natomiast Jakub pragnący swego ocalenia, jest konkretem, jest żywym, plastycznym wykresem tych

wszystkich napięć i oporów jakie w człowieku wytworzyła miniona wojna z potworną machiną obozów koncentracyjnych i więzień. W tych dramatach Zawieyski ocenia i wyjaśnia rzeczywistość. Udało mu się to bez omijania tematyki współczesnej, a więc bez zrywania kontaktu z realnym konkretnym człowiekiem naszych czasów. Tylko wtedy ma się pełne prawo do przekonującego mówienia o człowieku w ogóle. Nawet o człowieku przez duże C. W nieumiejętności wydobycia dla siebie takich uprawnień upatruję jeden z głównych braków powojennego piarstwa katolickiego w Polsce. Wszystkie dotychczasowe uwagi i zarzuty mają doprowadzić do jednego wniosku negatywnego: literatura katolicka nie wykorzystuje swojej największej szansy jaką stanowi stworzenie wielkiej powieści współczesnej, której sensus catholicus polegałby na ukazaniu doczesności wszystkich konkretnych wydarzeń wojny i doby powojennej sub specie aeternitatis.

Nie znaczy to, aby tylko do tego wniosku negatywnego sprowadzać należało całą ocenę interesujących nas zjawisk. Ujemne wnioski wypływają z postulatywnego traktowania zagadnień. Relacyjny tylko opis osiągnięć pisarzy katolickich dałby w wyniku wniosków, że są to osiągnięcia dużej miary, że stanowią mimo zdecydowanej przewagi ilościowej twórców reprezentujących inny światopogląd, siłę równoważną, podbijającą czytelników, zjednywającą ich dla sprawy katolickiej. Nic jednak nie powstrzyma nas od powtarzania natrętnej uwagi, że siła ta byłaby jeszcze większa, oddziaływanie jej jeszcze skuteczniejsze, gdyby powiązanie z współczesnością, zrozumienie jej mechaniki rozwojowej było głębsze i konkretniejsze.

Tymczasem rolę tłumaczenia współczesności na wieczność przejąć miała publicystyka katolicka, którą się tu zajmować nie będziemy i przekłady z katolickiej literatury obcej, o których kilka słów warto powiedzieć. Przekłady te udostępniają czytelnikom polskim możliwości skontaktowania się ze współczesnymi powieściami katolickimi Francji, Anglii czy innych krajów. Z wielką radością należy powitać powstanie Katolickiego Instytutu Wydawniczego „Pax”, który słuszną linię edytorską zaprezentował już wzniesieniem książki Marshalla, a zapowiedzią dalszych pozycji utwierdza w przekonaniu, że odegra w powojennym życiu katolickim Polski rolę istotną i pomoże w powiązaniu wszystkich wysiłków pisarskich wspólną świadomością celów, do których dążymy.

BŁĘDY POEZJI.

Sprawa poezji katolickiej w Polsce powojennej jest sprawą bardziej skomplikowaną. Funkcje poezji społeczne, światopoglądowe, czy nawet artystyczne zmalały. Pbezia jest w impasie. Antyliryczne tło epoki, bardziej niż kiedykolwiek sprawiło, że poeta „słuchaczów prózeń gra za płotem”. I krytyka literacka i obiektywny opis poszczególnych osiągnięć dowodzą, że stan ten nie jest dziełem przypadku, lecz wynikiem zmiany układu stosunków między ludzkich, wynikiem odmiennej hierarchizacji ważności zadań, wreszcie wynikiem wewnętrznego kryzy-

su poezji, polegającego na głębszej niż kiedykolwiek dysproporcji między kształtem artystycznym, a zawartością ideową.

Jest rzeczą zrozumią, że im większa zawartość ideowa, im głębsza treść przeżyć, im szersza skala doznań, tym pełniejszy, tym doskonalszy i tym różnorodniejszy powinien być kształt artystyczny. Postulat tej proporcji staje się zadaniem szczególnie trudnym do zrealizowania na gruncie poezji katolickiej. Ożywiają ją wszak, a w każdym razie wzruszenia najgłębszej natury, głębi tych wzruszeń odpowiadać zaś musi możliwie doskonała pełnia wyrazu artystycznego. Czyli od poetów katolickich oczekujemy w równej mierze maksymalnej wartości ideowej i maksymalnej jakości artystycznej. Wychodząc z tego postulatywnego punktu widzenia, dojdźmy do wniosku, że żaden z poetów naszych oczekiwań, naszych nadziei nie spełnia.

Kiedy się rozejrzemy w powojennej poezji katolickiej, stwierdzimy, że w ogóle tworzy ją kilku zaledwie poetów. Gdyby legitymacjami poetyckości były jedynie tomiki, uda nam się zliczyć wszystkich na palcach. Najwięcej wydał i najwięcej zaważył w powojennej poezji katolickiej przedstawiciel starszego pokolenia — Wojciech Bąk.

Dalej współczesniczy w trudzie reprezentowania naszej poezji dawna grupa „Progu”, będąca dziś już w rozsypce: Jerzy Kierst, Bohdan Ostromecki, Roman Sadowski i ongiś Stanisław Ziembicki. Inni uprawiają partyzantkę poetycką, chodząc samopas, po tej trudnej choć tak pięknej dziedzinie. Mikołaj Rostworowski, to chyba najzdolniejszy, jeżeli nie jedyny spośród nich poeta. Na uboczu tworzyła Siostra Nulła.

Znany także kilku młodych poetów, którzy nie debiutowali jeszcze w wydaniu książkowym.

Marek Antoni Wasilewski, ma przygotowany do druku, spory tomik utworów drukowanych już w prasie katolickiej.

Tadeusz Chrzanowski przygotował swój zbiorek pt.: „Rytmy”, znany częściowo czytelnikom „Tygodnika Powszechnego” i „Dziś i Jutro”.

Maciej Józef Kononowicz wyda wkrótce swój tomik „Wojna i niepokój”. Grupa poetów łódzkich — Olszewski, Szczawiński, Wirth i Hertel, którzy naszkicowali swoje sylwetki poetyckie w zbiorowym tomie: „Różnie idąc”, pracują nad indywidualnymi wystąpieniami.

Anna Pogonowska, która po przeciwnie stronie barykady światopoglądowej zadebiutowała „Węzłami”, przeszedłszy na stronę katolicką, zapowiada nowy tomik wierszy. To chyba i wszystko. Interesujące byłoby jeszcze rozpatrzenie i wliczenie do ogólnego rachunku, wierszy Husarskiego czy Twardowskiego drukowanych od czasu do czasu w „Tygodniku Powszechnym”. Niestety, są one tak rzadkie i rozproszone, że zrezygnować trzeba z próby ich najogólniejszego nawet oceniania. Przepuszczać należy, że okazję do uzupełnienia tego braku da nam kiedyś ukazanie się wspomnianych wierszy w zbiorce, do których autorzy chyba czynią przygotowania. O innych — jeszcze rzadziej występujących na łamach czasopism katolickich — tym bardziej nie mo-

żemy pamiętać. Nawet jednak gdybyśmy ich nazwiskami powiększyli zastęp współczesnej poezji katolickiej nie będzie on zbyt wielki liczbowo.

Co reprezentuje ten zastęp w rachunku ogólnym? Jaki jest ogólny bilans ich osiągnięć? Naszym zdaniem jedno można powiedzieć na początku: bilans to niewesoły i nawet w dobie ogólnego kryzysu poezji przynębiający. Główny brak i znanych nam z tomików poetów i poetów przygotowujących się do debiutu książkowego polega na odstąpieniu od obowiązującej wszystkich twórców, a przede wszystkim twórców katolickich zasady: jak najgłębsza i jak najprawdziwsza zawartość ideowa w jak najdoskonalszym kształcie artystycznym.

W praktyce krytycznej wyraża się to z konieczności zarzutami dotyczącymi bądź „treści”, bądź „formy”. Aby i tym razem nie ominąć okazji dla wyeliminowania ewentualnych nieporozumień, jeszcze raz przypominamy, że nie widzimy teoretycznej możliwości oddzielenia w utworze tzw. elementów formalnych i treściowych. Każde dzieło jest pod tym względem integralną całością, a sztuczne rozkładanie go na czynniki pierwsze jest jedynie koniecznością praktyczną, której w konkretnym poznawaniu dzieła usunąć nie potrafimy. Nie ma zarzutów treściowych i formalnych, choć tak je nazywać dla jaśniejszego wykładu musimy. Każdy zarzut jest zarzutem ogólnym, dotyczy całości dzieła, dotyczy jego wewnętrznej harmonii, która stanowi sprawdzian ogólnej wartości. Zastosowanie tego sprawdzianu do znanej nam poezji katolickiej w Polsce współczesnej prowadzi do wniosków, które już na początku tego rozdziału sygnalizowaliśmy.

Wszyscy wymienieni poeci podlegają w różnym stopniu i z różnych powodów zarzutowi braku harmonii wewnętrznej ich wypowiedzi poetyckich. Wojciech Bąk, nie pogłębił swojej postawy twórczej wobec przeżyć religijnych do tego stopnia, aby wskazała mu ona właściwe środki ekspresji artystycznej. Jego wiersze powojenne niepokoją swoją brulionowością. Pisaliśmy już o tym w osobnej rozprawce nie będziemy więc w naszym ogólnym spisie powtarzali wywodów szczegółowych. Wystarczy jedynie zaznaczyć, że przyznanie autorowi „Piątej Ewangelii” poetyckiej nagrody Episkopatu Polskiego jest oficjalnym potwierdzeniem impasu w naszej poezji i słusznym wskazaniem na Baka, jako na twórcę najwybitniejszego jednak w dążeniu do ideowej katolickości poezji. Grupa „Progu” — tzw. grupa młodych o świeżących skroniach, nie zdobyła się, choć było to napewno jej ambicją, na wydobycie tych walorów, które poezja katolicka uzewnętrzniać powinna. Wiersze Ostromeckiego czy Kiersta nie potrafią zachwycić, a tym samym przekonać swoim kształtem artystycznym co osłabia siłę chociażby najpiękniejszej zawartości ideowej. I Ostromecki jednak i Kierst (zwłaszcza Kierst) ostatnimi publikacjami poetyckimi w czasopiśmie literackich, dowodzą zrozumienia swych braków i usiłują, jak dotąd szczęśliwie, realizować ambicję przywrócenia swym utworom wewnętrznej ich harmonii. Najzdolniejszy z grupy „Progu”, chociaż — zdaje się coraz bardziej obojęt-

niejący wobec katolicyzmu Roman Sadowski, potrafił (zwłaszcza w ostatnim swoim poemacie „Rzut oszczepem”) wykazać skłaniającą do szacunku i uznania troskę o jak najdoskonalszy kształt artystyczny, ale jednocześnie skłania się ku tej postawie twórczej, z zasady obcej katolicyzmowi, która polega na automatyzowaniu przeżyć estetycznych. Od zarzutu pięknoduchostwa bronią go jeszcze głębokie akcenty humanistyczne, ale już w typie metafory, w kolorystyce języka poetyckiego, w mechanice funkcjonowania jego obrazów poetyckich przejawiają się niebezpieczne skłonności ku wyizolowaniu elementów estetycznych jako samoistnych wartości.

Skłonności te najwyraźniej uzewnętrzniają się w twórczości najwybitniejszego przedstawiciela prawdziwie młodego pokolenia poezji katolickiej, w licznych, wychuchanych, pięknoduchowskich wierszach Mikołaja Rostworowskiego. Wielka umiejętność przeżywania estetycznych walorów opisywanych zjawisk, prawdziwe zrozumienie fonicznych wartości języka, entuzjastyczne oddanie się urokowi skojarzeń obrazowych grożą Rostworowskiemu całkowitym automatyzowaniem tych procesów, których istotny sens i istotne funkcje istnieją tylko w zależności od wartości jeśli nie nadrzędnych, to napewno równorzędnych. Niebezpieczeństwo niezrozumienia tych korelatywnych praw rządzących harmonią utworu literackiego jest tym większe, a dla poezji katolickiej tym bardziej przykre, im większy talent twórcy. Dlatego droga poetycka Rostworowskiego jest drogą bardzo śliską. Kroczy nią nie on sam, ale i inni poeci. Tadeusz Chrzanowski chyba równie uzdolniony w uzewnętrznianiu estetycznych walorów materii poetyckiej, w swoim pięknoduchowstwie zabrnął jeszcze dalej. Nie wspominamy przed tym, występujący od niedawna na łamach prasy katolickiej, młody, mimoszowany debiutant Lepkowski ze swoją fanatyczną koncepcją całkowitego podporządkowania poezji metaforycznej jest również sygnałem ostrzegawczym. Inni — mniej może utalentowani w uzewnętrznianiu swoich estetyzujących ambicji zwięk szają zastęp miłośników autonomicznego niemal dźwięku, obrazu, czy przenośni. Napuszony klasycyzm Wirtha, anemiczna pastelowość Hertla, to przykre tego dowody. Reszta młodych — z wyjątkiem jednej chyba tylko Pogonowskiej — ulega nie tyle wpływowi, ile błędowi Baka. Brulionowość, brak dopracowania formalnego, przy głębokim nieraz i prawdziwie katolickich intencjach, psuje większość wierszy Marka Antoniego Wasilewskiego, w trochę innym kształcie wyrażając się w ciekawych, często bardzo bliskich jak najbardziej katolickiego sensu, ale jednocześnie trochę sztywnych, czasami wymuszonych, a niemal prawie zawsze przeintelektualizowanych utworach Szczawińskiego lub publicystyce Olszewskiego.

Te dwa zasadnicze niedociągnięcia zaciążyć musiały na ocenie ogólnej. One też prowokują do sformułowania wspólnych dla wszystkich poetów katolickich postulatów. Nie wolno poezji traktować jako „coś ładnego”, nie wolno widzieć w niej tylko dźwięczniejszej trochę powabniejszej, niż inne, relacji pamiętnikowej czy publicystycznej. Poezja katolicka przede wszystkim musi stać się wyrazem adekwatności głębokich przeżyć religijnych z łączącymi się integralnie w jedno z nimi przeżyciami estetycznymi. Jakikolwiek zachwianie tej postulowanej równowagi powoduje braki, któreśmy wyżej wska-

(Dokończenie na str. 8)

zywali. Usunięcie tych braków jest zadaniem rozwijającej się w Polsce nowej generacji poetyckiej.

SPRAWA LITERACKIEJ KRYTYKI KATOLICKIEJ

Te zadania poezji jak i zadania prozy o których mówiliśmy wcześniej uświadamiać musi grono twórców i masom czytelników katolicka krytyka literacka. Na niej spoczywa wielki i trudny obowiązek uświadamienia wartości, zdobywanych przez literaturę katolicką, na niej też spoczywa obowiązek wskazywania braków, demaskowania niedociągnięć i wyjaśnianie pomyłek tej literatury.

Zadania te nie wyczerpują wszystkich spraw, jakimi zajmować się ma krytyka literacka, ale ukazują ogólny jedynie kierunek jej działania. Działanie to opierać się musi, jeśli ma być logiczne i skuteczne, na przemyślanej i konsekwentnej metodzie poznawania i oceniania dzieła literackiego. Wypracowane do tej pory metody nie odpowiadają wszystkim potrzebom, jakie katolicka krytyka literacka w oparciu o zasadnicze przesłanki światopoglądu katolickiego, chce i musi zaspokajać. Personalistyczna koncepcja człowieka wymaga od krytyki katolickiego takiego ujmowania i oceniania działalności ludzkiej, aby uwzględnić można było występujące w niej elementy przyrodzone i nadprzyrodzone. Przedstawiciele innych światopoglądów, wykluczających elementy nadprzyrodzoneści mają zadanie o wiele łatwiejsze. Wystarczy, jeśli przeprowadzą poprawną analizę stosunku dzieła do kontekstu, który uwarunkował lub zdeterminował jego zawartość ideową i kształt artystyczny. Katolicy nie mogą na tym poprzestać, muszą więc pokonywać znacznie większe trudności metodologiczne. W praktyce usiłowania ich dążą do pełnego w ich rozumieniu opisu dzieła, który stanowi podstawę oceny. Ocena ta wynika z ogólnej hierarchii wartości, ustalonej ogólnymi przesłankami światopoglądowymi. Oczywiście, dla wyznawców innego światopoglądu taki zabieg metodologiczny jest nie do przyjęcia. To tłumaczy, chociaż nie usprawiedliwia, ataki na sprawdzalność, naukowość katolickiej krytyki literackiej. Pamiętaj jednak trzeba o równo-
uprawnieniu założeń światopoglądowych, aby zrozumieć słuszność chociaż jednocześnie i sytuację polegającą na wykluczaniu się wzajemnym wniosków krytyczno-literackich, wynikających z odmienności postaw światopoglądowych. W tej sytuacji krytyka literacka, jeśli chodzi o spór ideologiczny naszego czasu odgrywa w sprawach literatury rolę niemal głównej siły tak ofensywnej jak i defensywnej.

Odgrywanie tej roli utrudniają jej nie tylko wewnętrzne, większe niż u innych, trudności metodologiczne, ale i obiektywny układ czynników zewnętrznych. Mamy tu na myśli brak sił fachowych. Wybitni literaturoznawcy katolicy, jak: Kleiner, Borowy, Pigoń, Górski, pracować muszą, muszą wydatkować swoją energię na katedrach uniwersyteckich. Tam rzeczywiście przede wszystkim pracować powinni. Nawal pracy uniwersyteckiej nie pozwala im na doraźne anagazowanie się w prace dotyczące i obejmujące zakres literatury współczesnej. Usiłuje to zrobić młodsze pokolenie naukowców. Wspaniałe eseje prof. Skwarczyńskiej, czy doc. Sławińskiej, wykazują, ile wnieść może w ogólny dorobek myśli katolickiej naukowe przygotowanie i podejście do tematu. To wszystko jednak za mało. Istnieje potrzeba omawiania miesięcznie kilkunastu książek, pisania mnóstwa

recenzji, omówień, polemik, potrzeba twardej konsekwentniejszej harówki recenzenckiej, potrzeba krytyczno-literackiej pracy w każdej redakcji, przy każdym numerze pisma. Podziwiać trzeba wyteżoną i efektywną pracę Zofii Starowiejskiej-Morstinowej. Możemy się nie zgadzać z takimi, czy innymi jej ocenami, ale wskazujemy na nią jako na przykładową postać recenzenta nie z przypadku i nie dla przyjemności, ale recenzenta i krytyka literackiego z potrzeby, z powołania. Cieszymy się z wszystkich wypadków recenzenckich Jasienicy, Kisielewskiego, Gołubiewa, czy innych publicystów lub pisarzy. Ale to są prace „na marginesie”. Brak nam pracowników w dziedzinie krytyki literackiej, którzy traktowaliby swoją pracę jako zadanie zasadnicze, jako jedną ze składowych, bardzo istotnych części ogólnej pracy kulturalnej katolików polskich. Brak nam takich ludzi.

Dotykając tego problemu, a raczej tylko sygnalizując jego ważność, dotykamy jednej z najbardziej palących kwestii katolickiej, planowej pracy kulturalnej. Mamy na myśli kwestię tzw. młodych, kwestię szkolenia i wychowania nowych pokoleń twórców czy pracowników kultury katolickiej.

PROBLEM MŁODYCH.

Główny ciężar zadań katolickich we wszystkich dziedzinach życia Polski współczesnej, a więc i w dziedzinie kulturalnej dźwiga pokolenie starsze. Inwazja młodych zaznacza się jedynie w dziedzinie poezji i — w mniejszym stopniu — w dziedzinie publicystyki. Proza artystyczna nie ma właściwie oprócz Żukrowskiego żadnych przedstawicieli młodej generacji. Znany próby Jana Józefa Szczepańskiego i wiele od niego w tej dziedzinie oczekujemy, ale to w stosunku do potrzeb bardzo mało. W dziedzinie krytyki literackiej jest jeszcze gorzej. Ten brak się świadczy naszym zdaniem nie o braku talentów, nie o braku potencjalnych możliwości, reprezentowanych przez młodzież katolicką, ale o braku czujnej opieki, o braku dostatecznej pomocy, która zapewniałaby tej młodzieży rozwój i doskonalenie swoich zdolności w odpowiednim kierunku.

Katolickie pisma powinny poczuwać się w pierwszym rzędzie do obowiązku sprawowania tej opieki, do obowiązku niesienia tej pomocy.

Jej formy pozostawić należy inwencji kierowników poszczególnych środowisk. Jeśli troszcząc się o poziom literacki tygodnika „Dzisiaj i Jutro”, obok utworów wysokiej klasy, wyszłych spod piór pisarzy mających już ustaloną pozycję, drukujemy nie zawsze doskonałe, a bardzo często nawet pod pewnymi względami nieudolne jeszcze próby młodych debiutantów, to widzimy w tym jedną z okazji dla rozwijania, pobudzania, doskonalenia twórczości jeszcze niezbyt może świadomej swoich celów, a napewno niezbyt przekonującej swoimi środkami artystycznymi. Uważamy, że nie przekraczając pewnych granic dolnych, ale i nie traktując zbyt rygorystycznie subiektywnych odczuć tzw. poziomu, powinniśmy młodym dawać szanse nawet publicznej kompromitacji, jeśli może się ona stać twórczym czynnikiem rozwoju. Dlatego też jeśli Instytut Wydawniczy „Pax” da w najbliższym czasie do ręki czytelnikom tom nowel, w którym obok świetnych i dojrzałych opowiadań Szczepańskiego znajdują się próby zbyt wcześnie może debiutujących, na różnym poziomie prozaików, to traktować to należy jako ukazanie innej jeszcze formy opieki i pomocy, dzięki której młode pokolenie katolickie mo-

że dojrzeć do oczekującej ich roli. Jeżeli przy „Słowie Powszechnym” wydaje się osobny dodatek dla młodzieży szkół średnich, to znowu wskazują, że nasza troska nie ogranicza się do roczników starszej młodzieży, ale rozciąga się i na jej szersze zastępy.

To wszystko oczywiście jest niewystarczające jeszcze, wymaga pracy nie jednego zespołu, ale wspólnego wysiłku wszystkich katolików. Konsolidacja tych wysiłków jest tym bardziej wskazana, że sprawa narbyku nie jest jedyną sprawą, jaką musimy rozwiązać.

Istnieje jeszcze olbrzymi i złożony problem aktywizacji kulturalnej mas katolickich. Od rozwiązania tego problemu zależą sprawy bardzo zasadnicze. Literatura, proza artystyczna, poezja, krytyka literacka, publicystyka, to bardzo ważne ośrodki dyspozycyjne tego działania.

Jeśli podjęliśmy niebezpieczną próbę syntetycznego ujęcia osiągnięć dotychczasowych, jeśli tak ostro i bezwzględnie wskazywaliśmy ich braki, to czyniliśmy to prze-

de wszystkim dlatego, że zdawaliśmy sobie sprawę z ważności zagadnień.

PRO DOMO SUA.

Jeszcze raz w zakończeniu naszych uwag chcemy podkreślić, że surowy osąd, jaki jest wynikiem naszego bilansu, wynika przede wszystkim z tego, że literaturze katolickiej przypisujemy bardzo specjalne i bardzo trudne zadanie. Uważamy, że literatura ta zrobiła na swoim odcinku bardzo dużo, wiemy, że ma na swoim koncie duże osiągnięcia, twierdzimy jednak, że w stosunku do zadań są one jeszcze za małe, że epoka, w której żyjemy wymaga od twórców katolickich znacznie więcej.

Sądźmy, że publiczne omawianie tych spraw w niczym nie podważa autorytetu dotychczasowych osiągnięć katolickich. Przeciwnie. Jesteśmy głęboko przekonani, że śmiało, choć może nie we wszystkim słuszne rozważanie własnych słabości jest dowodem rzetel-

nej wiary w możliwość usunięcia braków, naprawienia błędów.

Katolicy nie potrzebują się bać krytyki, nie potrzebują niczego maskować, wierzą bowiem, że ich światopogląd daje im zawsze możliwość właściwej oceny zjawisk. Katolicy muszą wobec siebie być najsurowsi, ponieważ im, jeśli chodzi o życie wewnętrzne, dano najwięcej i od nich najwięcej będzie się wymagało.

Jeśli sformułowane przez nas sądy zawierają jakiegokolwiek sugestie fałszywe, lub w jakiegokolwiek sposób nie odpowiadają czymś przekonaniom o istotnym stanie rzeczy, podjąć trzeba szczerą, rzeczową dyskusję. Przypominamy bowiem, że główną myślą wszystkich uwag powyższych było między innymi — jak mówiliśmy we wstępie, sformułowanie ogólnych wytycznych, które choćby je należało potraktować tylko dyskusyjnie, pomóc mogą w rzeczowym ocenianiu tego, co pisarze katolicy w powojennej Polsce dokonali i tego czego dokonać jeszcze powinni.

Zygmunt Lichniak

Nowe filmy dokumentarne

Odpowiedź: Scenariusz, układ i tekst — R. Praga i B. Wiernik; montaż — J. Rojewska; zdjęcia — z archiwum P.K.F. i materiałów zagranicznych; kierownik produkcji — M. Wajenberg; tekst czyta — A. Łapicki.

Szeroka droga: realizacja — Zespół P.K.F.; reżyser — K. Gordon; zdjęcia — O. Samucewicz oraz operatorzy P.K.F.; montaż — K. Wacek; konsultanci — G. Woysznis i S. Jankowski; komentarz — K. Małcużyński i B. Wiernik; tekst czyta — A. Bohdziewicz; opracowanie muzyczne — F. Rybicki.

Jesteśmy świadkami dziwnego paradoksu. Produkujemy doskonale filmy oświatowe, naukowe — cały wachlarz filmów dokumentarnych, natomiast publiczność widzi je rzadko. Oczywiście można tłumaczyć ten fakt trudnościami związanymi z czasem trwania seansu, który nie dopuszcza do wyświetlenia innego filmu poza kroniką i filmem fabularnym. Wydaje się, że należałoby jednak dążyć do maksymalnego wykorzystania wszelkich możliwości (np. wyświetlać krótkometrażówki dokumentarne podczas festiwaliów za miast kroniki, którą, wobec częstej zmiany zasadniczego programu w czasie tygodnia, pilny widz musi oglądać kilkakrotnie).

Dlatego też wydarzeniem jest pojawienie się na ekranie dwóch filmów dokumentarnych (i to nie krótko- lecz średniometrażowych) zatytułowanych „Odpowiedź” i „Szeroka droga”.

Pierwszy z nich to publicystyka filmowa. Na podstawie materiałów polskich i zagranicznych, posiadanych przez Polską Kronikę Filmową, powstał film, który analizuje przyczyny klęski wrzesniowej i sytuację obecną.

„Szeroka droga”, to film o budowie Trasy W—Z. O budowie — bo sama Trasa po ukończeniu nie jest pokazana.

Obydwa filmy cechuje zwarty montaż i inteligentny komentarz. W obydwu najistotniejszą ich częścią jest zakończenie — w pierwszym nie co chaotyczne, w drugim (od chwili kongresu i meldunku o zakończeniu prac, który przyjmowany jest przez publiczność jako punkt filmu), pozabawione już tego napięcia emocjonalnego jakie cechuje całość.

Wydaje się jednak, że o ile szerokie użycie komentarza w „Odpowiedzi” jest umotywowane rodzajem tego filmu, to w drugim wypadku daje się zauważyć jego nadmiar. Jest on wprawdzie interesujący i skupia uwagę widza do końca, jednak przez swoją ciągłą obecność odbiera wymowę obrazowi, w pewien sposób niweczy wartość pięknych i pełnych wyrazu zdjęć i przekreśla wysiłek ich twórcy. Warto podkreślić niebanalność głosu komentatora — czynnik ważny dla tego typu filmu. Sądzę jednak, że film zyskałby, gdyby wprowadzona została większa modulacja w odtwarzaniu tekstu czytanego obecnie dość jednostajnie (z wyjątkiem początku), spokojnym głosem o tym samym niemal nasileniu i tempie.

Mówiąc o ograniczeniu komentarza trzeba wspomnieć o zagadnieniu użycia takiego efektu dźwiękowego jakim jest cisza. Spotykamy się z nim tylko raz jeden — podczas nocy z piątego na szóstego grudnia i montażu ostatnich części mostu. Brak wykorzystania ciszy — elementu o bardzo dużych możliwościach — jest zresztą cechą często spotykaną. Tymczasem ograniczenie roli jaką ma grać słowo, użycie zamiast niego tylko oprawy dźwiękowej z jego wyłączeniem, czy nawet postużenie się całkowitą ciszą, pozwala na wypuklenie w filmie wartości istotnie filmowych — wartości obrazu. Zasadniczą postawą twórcy winno być dążenie do stworzenia filmu, w którym wymowa wizji plastycznej zostaby osiągnięta i wykorzystana najlepiej, posłużenie się jakgdyby zmodyfikowaną techniką filmu niemego, zubożonego o możliwość odtwarzania dźwięków, lecz nie słów, przy pomocy której zamierzona treść zostaby oddana (wszędzie tam, gdzie jest to możliwe), przez kompozycję pojedynczego obrazu, montaż fragmentów i kompozycję całości filmu. W tym ujęciu kamera musi przede wszystkim nie notować ale wydobyć to, co twórca filmu z a m i e r z a pokazać. Przykładem takiej pracy są pełne ekspresji zdjęcia ukazujące reakcję na wysadzenie waduktu Pancera (twarz staruszkii).

Wydaje się, że ciekawą i pouczającą byłaby próba stworzenia eksperymentalnego filmu „niemego”, filmu przy pracy nad którym na czelnym założeniem byłoby ograniczenie do m i n i m u m użycia słowa. Komentarz tłumacząc wszystko nie tylko absorbuje widza i odrywa jego uwagę od obrazu, ale również pozwala na uzupełnienie braków tam, gdzie wynikają one nie z trudności, ale z niedopatrzania.

W „Szerokiej drodze” uderza autentyczny przemówienia robotnika meidującego na kongresie o wykonaniu prac. Naswa się wniosek czy obok wszechwładnie panującego komentarza nie należałoby wpleść w filmach tego typu oryginalnych głosów, krótkich dialogów wypowiedzianych ustami bohaterów fragmentów. Stworzył film, w którym komentarz byłby tylko klamrą spinającą poszczególne fragmenty. (Trudności wynikające z konieczności udźwiękowania można by sądzić rozwiązać przez np. użycie postsynchronizacji — nałożenia w studio głosów sfotografowanych postaci).

Tytuł filmu o Trasie W—Z „Szeroka droga” trafnie akcentuje jego treść. Film nie indywidualizuje, ale z rozmachem pokazuje zespołowy wysiłek, pracę, której celem było stworzenie Trasy. Budowa Trasy jest tematem filmu, bohaterem Trasy i zespół budowniczych. „Szeroka droga” wykazuje jak człowiek kształtuje przyrodę, jak przeprowadzana praca kształtuje stosunek postronnych obserwatorów — od niechęci czy rezerwy do zainteresowania — nie wykazuje jednak w pełni wpływu jaki wywarła ta praca na tych, którzy bezpośrednio brali w niej udział, nie zarysowuje również pal-

nej sylwetki pojedynczego człowieka.

Bardzo trafne są momenty ukazujące robotników w czasie pogadanki o Trasie W—Z (podkreślającą nową metodę zespołowej, świadomej pracy), pojawienie się Michała Krajewskiego i jego następców, travelling pokazujący postacie nowozacieknych, tych, którzy stanowili pojedyncze ogniwia załogi pracującej na Trasie, — wydaje się jednak, że momenty te powinny być rozszerzone, tak, by ukazać całą sylwetkę robotnika — twórcy Trasy. Powstaje zagadnienie czy dla uzyskania tego nie należałoby również ukazać robotnika poza pracą, nie izolować go od reszty dnia i od domu, lecz naszkicować jego życie, pokazać czym w nim była praca na Trasie. Sądzę, że przy odpowiednim opracowaniu kompozycji i uzasadnieniu wprowadzenia takich wątków nie rozsadziłoby ram filmu (np. skonstruowanie pracy jednej zmiany z przedstawieniem jak spędzają wolny czas pozostałi, co jest treścią ich życia wówczas, jaki wpływ wywiera tutaj praca na Trasie).

Podobnie zresztą, obok ukazania Trasy po jej ukończeniu, wydobycia nie tylko rozmachu pracy, ale również i piękna całej jej architektury i poszczególnych elementów, pokazania nie tylko ogromu, lecz i indywidualizowania jej, — podobnie należałoby przedstawić reakcję Warszawiaków (i nie tylko Warszawiaków), pokazać czym dla nich (jako tych, którzy nie brali bezpośredniego udziału w jej budowie) stała się Trasa.

Trzeba podkreślić umiejętność u dramatyzmienia szarych, codziennych momentów życia. Inżynier czuwający w nocy z 5 na 6 grudnia (i potem zbliżenie kalendarza, które napina naszą uwagę, każde oczekiwanie czegoś przełomowego), przyjęcie nowego robotnika i złożenie przez niego podpisu — to wszystko zdjęcia pełne ekspresji. Praca operatorów zdała w tym filmie egzamin (warto zwrócić np. uwagę na fotografię przedstawiającą cienie pracujących przy rozbiórce robotników i przeniesienie potem obiektu na nich samych stojących na wysokim murze).

Zwarta kompozycja początku filmu (z trafnie użytą spóźnioną ekspozycją cofającą akcję od chwili wysadzenia waduktu Pancera do Warszawy powojennej, od razu jasno osadza akcję filmu w czasie i określa warunki w jakich powstała koncepcja Trasy).

Wręcz fatalna jest natomiast (zwłaszcza w drugiej części) obrawa muzyczna, robiąca wrażenie całkowicie nieprzemysłowej i sztucznie doczepionej; monotonna, nużąca i zagłuszająca chwilami tekst. Odbiega ona wyraźnie od poziomu pełnej walorów całości i wywiera na nią ujemny wpływ. Jasne jest jaka waga posiada muzyka w tego rodzaju filmie jako element podkreślający a nawet kształtujący nierzaj istotniejsze momenty. W tym wypadku nie podkreśla ich ona, lecz przeciwnie chwilami zaciera ich ekspresję.

LESZCZ.

Alfred Gawroński

DZIEŁO WSPÓLNE

Filozofia arystotelowsko-tomistyczna określa cel aktywności społecznej, jako wspólne tworzenie pewnego dzieła, obejmującego różne dziedziny życia ludzkiego. Istnienie takiego celu widoczne jest we wszystkich społecznościach historii w tej ich fazie rozwojowej, kiedy życie społeczne dąży do tworzenia pewnych określonych wartości duchowych i materialnych. Społeczeństwo wciąż wówczas jednostkę w swoje naturalne dążenia, angażując ją do postawy twórczej.

W zakresie w jakim jednostka współpracuje w tym dziele zbiorowym, nie można mówić o jej autonomii i niezależności od społeczeństwa z którym jest materialnie i duchowo związana, ale tylko o dynamicznym oddziaływaniu wzajemnym.

To rozszerzenie części życia indywidualnego na życie zbiorowe dokonywa się na podstawie naturalnego dążenia człowieka do heroizmu, dążenia, które w społeczeństwie zdrowym jest podświadomie wykorzystywane dla potrzeb i celów życia społecznego.

Gdy dane społeczeństwo przechodzi z fazy rozwoju do swego pełnego rozkwitu, i z kolei do okresu upadku — zanikają w jego dążeniach elementy twórcze i zaczyna ono konsumpcję wartości osiągniętych.

Początek rozkładu społeczeństwa jest ściśle związany z zanikaniem w jego wartościach cywilizacyjnych postawy dynamizmu i wysiłku twórczego, w braku których jednostka traci poczucie wartości i celowości życia społecznego i szuka pełni duchowej — w abstrakcji życia czysto indywidualnego, zapoznającego istnienie innych.

Jakub Maritain w swoich niedawno wydanych dziełach „Les droits de l'homme et la loi naturelle” oraz „Christianisme et Democratie” trafnie zanalizował historyczno-społeczny problem dzisiejszej ludzkości, problem „dzieła wspólnego”, jako podstawy do duchowego obcowania człowieka z człowiekiem.

— „Cel społeczności politycznej — pisze Maritain — jak zresztą cel każdej społeczności ludzkiej, ma za podstawę tworzenie pewnego dzieła wspólnie. Jest to właściwość związana z ludzkim i racjonalnym charakterem społeczeństwa: to dzieło jest powodem i celem asocjacji oraz zgody (podświadomej czy świadomej) na wspólną egzystencję. Człowiek wspólnie żyje z człowiekiem z jakiegoś powodu, dla jakiegoś dzieła mającego być wspólnie wykonanym.

W społeczeństwie typu indywidualistycznego — mieszczańskiego nie ma dzieła wspólnego do stworzenia i nie ma też obcowania duchowego. Każdy żąda od państwa aby jego indywidualna wolność osiągania zysku była protegowana przeciwko ewentualnym zakusom wolności innych”.

— „Funkcja państwa jest tylko zapewnienie wygody materialnej pewnej grupie ludzi zajętej wyłącznie poszukiwaniem przyjemnego życia i bogaceniem się”...

Zatrącenie poczucia wartości duchowych, ich miejsca w całości natury ludzkiej, ich funkcji w codziennym życiu człowieka traktowane łącznie z zanikaniem poczucia odpowiedzialności społecznej, jest niezmienną charakterystyką społeczeństw schyłkowych.

**

W dzisiejszym społeczeństwie liberalno-burżuazyjnym wyrodnieniu życia duchowego przybrało cechę oderwania i odgrzania się „człowieka wewnętrznego” od świata rzeczywistości zewnętrznej. Zarodki takiego stosunku człowieka współczesnego do życia znajdziemy już w postawie ideowo-filozoficznej prądów kulturalnych, które tkwiły u kolebki Rewolucji Francuskiej i Romantyzmu, kiedy to zostały położone polityczne i kulturalne fundamenty pod całą erę liberalno-burżuazyjną. Już wtedy (stwierdzenie to jest osiągnięciem krytyki materializmu dialektycznego) uwidacznia się jaskrawa rozbieżność między — dążeniami kulturalno-ideowymi, a konkretnym celem życiowym członka klasy rządzącej — i tworząca się rzeczywistością gospodarczo-społeczną. Skutkiem tej rozbieżności cała pozytywna część ideałów romantycznych nieokreślona ściśle, nie była wynikiem doraźnych zagadnień i potrzeb, lecz raczej hermetyczną postawą emocjonalną, nie liczącą się z możliwościami realnego zastosowania.

Postulaty ideowe Rewolucji Francuskiej określały się tylko negatywnie: nowa klasa rządząca przeciwstawiała się pewnej przeszkodzie do obalenia, mianowicie absolutyzmowi arystokracji. Dopóki ta przeszkoda istniała i w opozycji do niej dążenia ideowe mieszczaństwa mogły wskazać swój cel praktyczny, popyt dążenia te zachowywały swą moc atrakcyjną. Skoro jednak przeszkoda absolutyzmu została obalona, nie już one w rzeczywistości nie oznaczają, muszą istnieć oderwane od życia, by nie godzić w faktyczne kształtowanie się świata mieszczańskiego.

Mesjanistyczno-utopijne ideały romantyków i postromantyków w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały spokojnemu rozwijaniu się ustroju społecznego, opartego nie na współpracy, ale na podstawowej zasadzie konkurencji i kontrastów ekonomicznych, co w konsekwencji stworzyło „naturalną” rozbieżność między interesem jednostki, a interesem społeczeństwa.

**

Światopogląd mieszczański, kształtujący się równolegle z rozwojem kapitalizmu nie da się sprecyzować w ramach jednego artykułu. Możemy jednak wskazać jego podstawową cechę, która głęboko wpłynęła na oblicze kulturalne jak i na kształtowanie pojęć reprezentatywnych dla typowego przedstawiciela świata burżuazyjnego. Cechą tą jest dewaluacja wszelkiej postawy heroicznej, wszelkiej postawy walki moralnej, (chodzi tu o stałą, typową postawę życia), która by godziła w łatwość i wygodę życia co

dziennego. Bo w światopoglądzie mieszczańskim trudności jakie powstają w życiu jednostki są tylko skutkiem nieporozumienia, przypadku lub niedomagań organizacji społecznej, które ma usunąć cywilizacja przez doskonałe stworzonego przez społeczeństwo systemu ochrony jednostki.

Przyjemne, możliwie łatwe i wygodne istnienie — ideał życiowy tej cywilizacji — może się rozwinąć tylko wówczas, kiedy życie społeczne nie wymaga żadnego wysiłku ze strony jednostki. Jest zatem beztreściowe i obowiązki jego ograniczają się do powinności towarzyskich. Życie społeczne nie posiada racji bytu, gdyż nie istnieje to „wspólne dzieło” do tworzenia, o którym mówi filozofia tomistyczna i stosunek jednostki do świata ze wewnętrznego może w najlepszym wypadku być stosunkiem zainteresowanego widza, nie twórcy. Tak więc objaw psychiczny indywidualizmu, polegający na zwróceniu człowieka ku sobie, ma swoje głębokie przyczyny w ustroju i filozofii życiowej świata mieszczańskiego.

Dziś objaw ten w krajach kapitalistycznych osiągnął najbardziej jaskrawe i tragiczne nasilenie. Ow psychiczno-duchowy stan typowy dla człowieka „fin de siecle” — manifestuje się tam w spazmatycznym poszukiwaniu zatraconego poczucia jedności w świecie, gdzie rozbieżność między życiem wewnętrznym, a zewnętrznym, praktycznym — stworzyła mit ducha oderwanego od rzeczywistości i ograniczonego do abstrakcji oraz jałowej uczuciowości. W takim ujęciu życie duchowe może zapoznawać rzeczywistość obiektywną, kultura izolować w kryształowym pałacu formalizmu, a życie religijne sprowadzać się do sentymentalizmu i skrupulanckiego grzebania w sumieniu. Duch staje się dziedziną niezależną od dialektyki codziennych zagadnień moralnych i materialnych, od walki o byt, pretekstem i ucieczką słabych, którzy wewnętrznie prowadzą życie odcięte od czynu i odpowiedzialności, życie istniejące dla siebie i przez siebie, wbrew rzeczywistości obiektywnej.

Fakt, że cała literatura Zachodu — nie tylko egzystencjalizm najbardziej posunięty pod tym względem — jest dręczona przez problem odosobnienia jednostki, stanowi już tylko wtórny konsekwencję rozłamu w psychice człowieka. Bohater (jeśli go można tak nazwać) przodującej literatury mieszczańskiej jest sam na świecie, jego życie to następujące po sobie stany uczuciowe, powstające bez określonego powodu i nienawiązujące do żadnego zewnętrznego „obiekty” jeśli nie negatywnie, w odczuciu nicości, ciężaru czy niedostępności świata zewnętrznego.

**

Beztreściowość życia społecznego jest zasadniczym powodem tej ucieczki jednostki przed problemem jej postawy zewnętrznej. Na tym to podłożu urosły nie tylko ważniejsze pra-

dy kulturalne lecz także owa zwyrodniała forma religijności jaką jest spaczony „spirytualizm” mieszczański.

Poczucie religijności u przeciętnego człowieka współczesnego niebezpiecznie ukształtowało się pod wpływem światopoglądu mieszczańskiego, który dąży do ograniczenia funkcji religii w świecie doczesnym, do utrzymywania powszechnego poszukiwania przyjemności w ramach przyzwoitości i moralności formalnej.

Tradycyjnie utrwalone narosty socjologiczne ciążyą na najwyższych wartościach chrześcijańskich nadając im w rozumieniu wielu, zgubne rysy idealizmu i abstenteizmu. Pod ich wpływem poczucie religijności zwyrodniało w subiektywizm, gdzie pod pretekstem duchowości — życie ducha jest odcięte od rzeczywistości, działania i odpowiedzialności. Wyraża się ono w postawie uczuciowej, w której skrupuły i wzruszenie religijne są celem i nie prowadzą do decyzji i do zobowiązań, bo jednostka nie czuje się odpowiedzialna za niesprawiedliwość i za beztreściowość życia społecznego. Zajmuje ona spokojnie miejsce wyznaczone jej przez kontekst społeczny, uważając moralność oraz życie religijne za dziedziny uczuć subiektywnych. Uczucia te stanowią miarę moralności, gdyż łatwość i wygodność życia praktycznego są złudnie kompensowane przez skrupulanctwizm i uczuciowość.

W rzeczywistości duchowe obcowanie człowieka z człowiekiem realizuje się tylko w jakimś przedmiocie. Subiektywizm postawy religijnej tragicznie wyraża stan człowieka w społeczeństwie typu indywidualistycznego.

**

W cywilizacji mieszczańskiej równolegle do rozwoju liberalizmu ekonomicznego, obserwujemy stałe objawy emocjonalnego reagowania jednostki na beztreściowość życia zbiorowego. Charakterystycznym tego znakiem jest kompensowanie indywidualizmu w tych odruchach politycznych kiedy dynamizm i walka są kulturowane dla samych siebie, niezależnie od celu. Taką uczuciową kompensatą jest poczucie wspólnoty bytu w różnych formach nacjonalizmu.

Powstanie faszyzmu i rasizmu w okresie dekadencji świata mieszczańskiego nie stanowi przypadku lecz jest objawem emocjonalnej potrzeby jednostki klasy rządzącej, nadania jakiegoś dynamicznego życia społecznemu, objawem reagowania społeczeństwa mieszczańskiego na widmo ostatecznego rozkładu. Oczywiście jest to tylko jeden z wielu aspektów złożonego zagadnienia faszyzmu.

Faszyzm pokazał do czego może doprowadzić niezaspokojona w człowieku potrzeba działania i obcowania, gdy nie znajduje ona swojego celu i zastosowania w naturalnych zadaniach społecznych. W tym własnym sensie możemy powiedzieć, że nacjonalizm zrodził się z liberalizmu. Jest on wybuchem instynktów, które w ustroju li-

beralnym wypaczyły się na skutek braku możliwości zaangażowania ich w rzeczywistość.

W odruchach nacjonalistycznych lub rasistowskich nie widzimy dzieła do realizowania wspólnie, lecz tylko pasję obcowania. Nie dla celu obiektywnego, związanego z wewnętrznym istnieniem społeczeństwa — człowiek łączy się z człowiekiem w ustroju nacjonalistycznym, lecz dla subiektywnej, biologicznej przyjemności bycia razem „zusammenmarschieren”.

Społeczeństwo pozbawione samym w sobie, realnej treści i celu, chcąc być dynamiczne wznosi do nieskończoności swoje wymagania zewnętrzne. Nie będąc określone przez jakiś cel do osiągnięcia, nie może określić się inaczej jak w opozycji do innych grup ludzkich. Szuka jakiegos „wroga” (na przykład żydów), przeciw któremu „trzeba” walczyć. W nienawiści tak pojętych „wrogów” — społeczeństwo nacjonalistyczne realizuje poczucie swojej jedności.

Dążenia nacjonalistyczne w swoich różnych odmianach, to jedyna forma dynamizmu politycznego na jaką w obecnej dobie historycznej potrafiła się zdobyć klasa mieszczańska.

**

Już św. Tomasz z Akwinu z niesłychaną na te czasy intuicją wykazał, że obcowanie człowieka z człowiekiem rodzi się z ponadosobistego spojrzenia na siebie i innych, ze stanowiska jakiegoś wspólnego przedmiotu zainteresowań. Dlatego dla nas katolików najwyższą formą obcowania spełnia się w poznawaniu Kogoś, kto jest Prawdą i Miłością samą. Dlatego w płaszczynie doczesnej, polityczna istota społeczeństwa realizuje się tylko w dążeniu do pewnego dzieła wspólnego, bowiem ludzie zespołu czy społeczności mogą obcować tylko pracując nad wykonaniem obiektywnego zadania. Zrozumienie tego faktu prowadzi nas do źródeł kryzysu świata współczesnego prowadzi do analizy stosunku człowieka do własnej pracy.

Indywidualizm w ustroju liberalnym nie jest jedynie tworem takich czynników, jak kontrasty interesów prywatnych lecz opiera się również na pewnej postawie światopoglądowej i kulturalnej. Dzięki niej twórczość ekonomiczna w jaką człowiek współczesny wkłada znaczną część swojej energii naturalnej nie posiada dostatecznej wartości i autorytetu aby móc być praktycznym wyrazem współżycia ludzkiego.

Równolegle z rewolucją przemysłową i z rozwojem kapitalizmu, cywilizacja mieszczańska wprowadziła pewną typową filozofię życiową, pseudospirytualistyczną, która dzieli człowieka na nie mające ze sobą styczności płaszczyny konstytutywne.

Ze spirytualistycznym realizmem chrześcijańskim nie ma nic wspólnego pogląd według którego ciało jest dla ducha tylko ewentualnym ośrodkiem działania. Nie ma tu miejsca na szcze gółową analizę czynników, które doprowadziły do takiego wypaczenia wartości duchowych

(Dalszy ciąg na str. 10)

